

Paul Scheffer

Druga ojczyzna

Imigranci w społeczeństwie otwartym

Przełożyła

Ewa Jusewicz-Kalter



wydawnictwo **Czarna**

Kula ziemiska jest krucha

Na peryferiach bogatego świata rozgrywa się coraz więcej dramatów. Ludzie ryzykują dosłownie wszystko, aby móc uzyskać cząstkę dobrobytu i wolności. Na granicy z Meksykiem nielegalni imigranci tracą orientację na rozżarzonej pustyni i umierają z pragnienia. W Morzu Śródziemnym toną ci, którzy odważyli się je przepłynąć w wątych łodziach. Czasem ich ciała wypływają na brzeg, gdzie z pewnej odległości przyglądają im się turyści, którzy spędzają dzień na plaży. Za każdym razem podobne wydarzenia wywołuje szok, który odpycha w niepamięć, gdy uwagę przykuwa kolejna tragedia.

19 czerwca 2000 roku brytyjska straż graniczna znalazła w holenderskim samochodzie ciężarowym pięćdziesięciu ośmiu nielegalnych imigrantów z Chin. Wszyscy ponieśli śmierć w chłodni wskutek uduszenia. Aresztowano pochodzącego z Holandii kierowcę. Policja podejrzewała go o to, że ukrył uchodźców, wzięwszy za to pieniądze. Prawdopodobnie ci pasażerowie na gapę oddali się w ręce profesjonalnych przemytników ludzi. Szacuje się, że od połowy lat dziewięćdziesiątych w tej walce między osobami przekraczającymi granicę a strażnikami straciło życie około siedmiu tysięcy ludzi.

Znaleźliśmy się w nowym świecie, ale nie wszystko, z czym mamy do czynienia, jest nowe. I tak, 21 października 1927 roku funkcjonariusze graniczni z zachodnio-australijskiej miejscowości portowej Fremantle odkryli w kontenerze balastowym holenderskiego statku „Almkerk” pięćdziesięciu czterech Chińczyków, którzy ukryli się tam, aby dotrzeć niezauważalnie do Australii. Gdy otwarto ten ciasny kontener, okazało się, że w środku brakuje powietrza. Ośmiu Chińczyków zmarło, a inni stracili przytomność.

Jak daleko sięga pamięć ludzka, przekraczano granice, legalnie lub nielegalnie. To, co obecnie nazywamy globalizacją – a czego najbardziej widocznym objawem jest pokaźna imigracja ludzi – jest kontynuacją długiego procesu zacieśniania więzów. Uznawanie naszych czasów za coś zupełnie nowego to nieporozumienie, „światowa sieć” relacji międzyludzkich jest na to o wiele za stara. Ekspansja kolonialna Europy – począwszy od odkrycia Ameryki w 1492 roku – uformowała bezgraniczną sieć zależności ekonomicznych i kulturowych. Zanim nastąpił ruch emigracyjny w naszym kierunku, wydarzyło się coś innego: gdyby europejskie mocarstwa kolonialne nie posiadały zamorskich terenów, mieszkańcy z tych części świata nie zaczęłyby tak szybko odczuwać potrzeby wyruszenia w naszą stronę.

Imigracja jako miernik globalizacji nie jest procesem nieustannie progresywnym, cechuje go znaczna fluktuacja. I tak, okres od 1850 do 1914 roku to masowy ruch emigracyjny z Europy do Ameryki. Pod względem wartości liczbowych widać w nim godne uwagi zbieżności z obecnymi ruchami migracyjnymi. Potem nastąpił ogromny spadek. W latach 1900–1910 wyemigrowało do Ameryki 8,5 miliona ludzi; w latach 1950–1960 liczba ta skurczyła się do 2,5 miliona, a pod koniec XX wieku wzrosła znów do poziomu

przed pierwszej wojny światowej, mianowicie w latach 1990–2000 wyemigrowało do Ameryki 9 milionów ludzi.

Znawcy migracji Castles i Miller wskazują na historyczną kontynuację migracji, ale podkreślają jednocześnie nowe cechy obecnej wędrowki ludów: „O ile od niepamiętnych czasów przekraczanie granic przez ludzi przyczyniało się do formowania państw i społeczeństw, współczesność odróżniają globalna skala migracji, centralna rola, jaką odgrywa ona w polityce wewnętrznej i zagranicznej, oraz jej olbrzymie następstwa ekonomiczne i społeczne”. Przewidują oni dalszą „globalizację”, jak również „upolitycznienie” migracji: światowa sieć umożliwiająca poruszanie się ludzi zagarnia coraz więcej państw, a jednocześnie znacznie przysiębiać na sile konflikt polityczny, gdyż imigrację cechują dojmujące następstwa.

Szacunki dotyczące obecnej liczby imigrantów na świecie są z natury rzeczy niepewne: w 2000 roku mówiło się o 175 milionach ludzi, którzy przebywali w innym kraju ponad rok. W odniesieniu do całej szybko rosnącej ludności świata, imigracja w latach 1970–2000 nie wzrosła w sposób spektakularny: mianowicie z 2,2 do 2,9 procent. Ale w tym samym okresie w bogatszych krajach procent ten prawie się podwoił, od 4,3 do 8,3 procent. W Europie Zachodniej liczba imigrantów między 1965 a 2000 rokiem wzrosła aż pięciokrotnie: z 2,2 do 10,3 procent. Tak więc pod względem liczby nowo przybyłych kraje te niewiele różnią się od Stanów Zjednoczonych. Ponadto ogromnie wzrósł udział imigracji w całkowitym przyroście naturalnym w świecie dobrobytu: z jednej ósmej do dwóch trzecich. Bez przybycia imigrantów ludność Europy zaczęłaby już się kurczyć, a to współistnienie starzenia się społeczeństwa i zmiany jego koloru nadaje zagadnieniu imigracji niebywały ciężar gatunkowy.

Liczba ludzi, którzy uciekają z własnego kraju, zdecydowanie wzrosła przede wszystkim w latach osiemdziesiątych i pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Od tamtego czasu nastąpiła pewna stabilizacja, a nawet niewielki spadek. W skali światowej liczbę uchodźców szacuje się na piętnaście milionów, z czego przytaczająca część przebywa w rejonie swojego pochodzenia. Biorąc pod uwagę przede wszystkim spodziewane katastrofy ekologiczne, zakłada się, że w przyszłości więcej osób będzie zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny.

Globalizacja rzeczywiście niesie ze sobą „upolitycznienie” imigracji. Poszukuje się sposobów demokratycznego kierowania ruchami ludności na skalę światową. Istnieje oczywiście napięcie między dążeniem do otwartej ekonomii, która żyje z przekraczającego granice handlu i inwestycji, a próbami kontrolowania poruszania się ludzi. Jeśli liberalizm pragnie być konsekwentny, nie może dążyć jedynie do swobodnego ruchu dóbr i kapitału, lecz powinien również zwalczać utrudnienia w swobodnym poruszaniu się ludzi. Jednakże nie ma zbyt wielu liberałów, którzy pragną żyć w zgodzie z głoszonymi przez siebie poglądami.

Często mówi się, że imigracja wymyka się kontroli rządowej. Na przykład historycy Piet Emmer i Hans Wansink piszą: „Wobec przybywania imigrantów niewiele można uczynić. Tak już jest, że bogate kraje to ulubiony cel imigrantów z krajów biednych”. Jeśli nie wpuszcza się ich w sposób legalny, przybywają nielegalnie. Nie powstrzymuje to jednak obu autorów od następującej konkluzji: „Zaledwie drobną część międzykontynentalnych imigrantów można wpuścić do Europy jako legalnych imigrantów zarobkowych, a jeśli nie uda nam się wybrać najlepszych, znowu źle się skończy”. Ilustruje to poczucie niepewności. Jaki bowiem ma sens pragnienie ułatwienia selektywnej imigracji

zarobkowej, skoro autorzy stwierdzili wcześniej, że jakakolwiek kontrola skazana jest na niepowodzenie: „Wobec przybywania imigrantów niewiele można uczynić”.

Nie tylko oni tak myślą. Zbyt często przedstawia się ułatwienie imigracji jako nieuchronność historyczną: uzasadnia się, że w czasach globalizacji kontrola granic nie ma większego sensu. Nie chodzi tu o moralną ocenę takich środków zaradczych, lecz o pytanie, czy rządy, również w krajach demokratycznych, mogą interweniować skutecznie. Najnowsza historia uczy, że interwencje rządowe wywarły wielki wpływ na ruchy migracyjne. Na przykład w Niemczech, dzięki wspaniałomyślnemu prawodawstwu w kwestii udzielania azylu, liczba uchodźców szybko wzrosła do 438 tysięcy w 1992 roku. Po zaostrzeniu przepisów w ciągu paru lat obniżyła się do 128 tysięcy w 1995 roku. Coś porównywalnego możemy stwierdzić w wypadku ostrzejszych praw dotyczących udzielania azylu w Holandii, obowiązujących od początku tego wieku. W porównaniu z połową lat dziewięćdziesiątych, liczba osób szukających azylu obniżyła się o pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu procent. Inny przykład to podjęcie Francji do imigrantów z Algierii, którym w latach dziewięćdziesiątych zaczęto stwarzać coraz większe trudności. Zwłaszcza po zamknięciu granic przez Tunezję i Maroko liczba imigrantów szybko się obniżyła.

Z drugiej strony, rządy odgrywają też decydującą rolę w przyciąganiu imigrantów. Można to zaobserwować u robotników cudzoziemskich z takich krajów, jak Portugalia, Turcja bądź Maroko. Nigdy nie doszłoby do napływu imigrantów zarobkowych bez wsparcia rządów ich krajów docelowych. Rządy klasycznych krajów emigracyjnych, takich jak Kanada i Australia, odegrały bardzo aktywną rolę w przyciąganiu pożądaných imigrantów. Australia w wielu wypadkach opłacała nawet podróz.

Duże znaczenie ma również postawa rządów z krajów pochodzenia imigrantów. Badacz amerykański Myron Weiner twierdzi, „że spora część obecnej migracji światowej jest następstwem polityki i działalności państw, które bezpośrednio lub pośrednio zachęcają, skłaniają albo zmuszają swoich obywateli do opuszczenia kraju”. Rola państwa jest więc istotna nie tylko w wypadku dopuszczania imigrantów, lecz w równie wielkim stopniu, gdy kraj opuszczają jego obywatele. Może to polegać na promowaniu emigracji, tak jak było w latach pięćdziesiątych, gdy rządy europejskie stymulowały wyjazd rodzimych chłopów do Australii i Kanady. Czasem jednak stosowany jest przymus, jak w przypadku wydalania mniejszości azjatyckich z Ugandy w czasach Idi Amina.

Również w innych częściach świata jawny przymus nie jest niczym niezwykłym. W każdym razie w krajach Zatoki Perskiej imigracja pozostaje ściśle uregulowana. Tymczasowi imigranci, przybyli w poszukiwaniu pracy na przykład z Filipin, mają o wiele mniej praw niż w Europie: wykluczone jest zakładanie rodzin, jak również zezwolenie na stały pobyt, który doprowadziłby do uzyskania obywatelstwa. Często wskazuje się przy tym na doświadczenia europejskie: nie chce się dopuścić do tego, aby podobnie jak w Europie czasowy pobyt przemieniał się w trwałe osiedlenie. Systematycznie całe grupy robotników cudzoziemskich zostają wydalone bez pardonu z kraju. To samo przydarzyło się w latach osiemdziesiątych dziesiątkom tysięcy imigrantów egipskich w Libii.

Podobne środki zaradcze są w liberalnej demokracji nie do pomyslenia, a polityczna ingerencja w sprawę imigracji musi być zgodna z normami praworządnego państwa. To zupełnie co innego niż bezradność w obliczu wędrowki ludów, z którą staje się oko w oko. Niemiecki politolog

Christian Joppke stawia pytanie retoryczne: jeśli imigracja wymyka się już spod kontroli, dlaczego państwa Środkowego Wschodu i Południowo-Wschodniej Azji nie uczynią tego samego, co generalnie robi świat zachodni, to znaczy dlaczego nie respektują praw imigrantów? Autor wskazuje na to, że zmniejszona suwerenność demokracji liberalnej to ograniczenie narzucone sobie świadomie. Liczne usiłowania polityków, aby zdecydowanie zmniejszyć skalę imigracji, nie przynoszą efektu przede wszystkim z powodu nacisku władzy sądowej, aby szanować i rozszerzać prawa imigrantów.

W zasadzie, jak mówi Joppke, po kryzysie ekonomicznym z 1973 roku wszelka imigracja była niepożądana, lecz podejmowane inicjatywy, na przykład zahamowania łączenia rodzin, zostały zniweczone przede wszystkim wskutek pojawienia się Conseil constitutionnel we Francji czy Bundesverfassungsgericht w Niemczech. Świadomie przyjęte ograniczenie suwerenności jako rezultat podziału władzy – to znaczy niezależna władza sądowna – to zupełnie co innego niż opinia głosząca, że wskutek globalizacji rządy przestały mieć jakkolwiek możliwość kontrolowania granic.

Poza środkami wymienionymi powyżej, postępowanie państw może mieć bezpośredni wpływ na strumień emigracji w jeszcze inny sposób. Wystarczy spojrzeć na Haiti: między innymi wskutek narastającego strumienia ludzi uciekających z tego kraju rząd amerykański zdecydował się na interwencję militarną. Często zdarza się, że strumienie imigrantów wywierają wpływ na stosunki międzynarodowe. Na przykład, obecność uchodźców afgańskich w Pakistanie oraz palestyńskich uchodźców w Libanie przyniosła ze sobą znaczne napięcia w tych krajach. Niezliczonych Palestyńczyków zmuszono do opuszczenia Libanu, ponieważ przyczyniali się do kontynuowania wojny domowej.

W zasadzie niewiele jest zatem wielkich ruchów migracyjnych, w które rządy nie są zaangażowane w bezpośredni sposób. Mogliśmy się tego spodziewać, gdyż ci, którzy mówią o wędrówce ludów absolutnie nie do oparowania, jednocześnie negatywnie wypowiadają się na temat „fortu Europy”, podnoszącego swoje zwodzone mosty. Jednakże obraz „fortu” nie kojarzy się raczej z bezradnymi państwami, które nie są już w stanie zapanować nad problemem imigracji.

Pokierowanie tą sprawą jest niezbędne, gdyż wystarczająco wiele wskazuje na to, że na razie presja imigracji będzie się utrzymywać, a nawet wzrastać. Wyrażnie widać różnicowane trendy demograficzne w krajach rozwiniętych i nierozwiniętych. Podczas gdy jedna część świata zostaje głęboko dotknięta zjawiskiem starzenia się społeczeństwa, gdzie indziej widać jego odmladzanie. Ponadto przepaść między warunkami życia na Północy i Południu nadal jest wielka i jednocześnie istnieje nieustanne zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą. Dotyczy to zwłaszcza krajów graniczących ze sobą, takich jak Meksyk i Stany Zjednoczone lub Maroko i Hiszpania.

Stawka jest wysoka: wraz z możliwościami zapewnienia nad imigracją poddaje się dyskusji kompromis społeczny. Rozpowszechnia się pogląd, że pojawienie się krajów, w których wynagrodzenie pracowników jest niskie, takich jak Chiny i Indie, zmusza świat dobrobytu do zrezygnowania ze sporej części opieki socjalnej. W świetle zachodnim widoczna jest sprzeczność interesów, która utrudnia kontrolę nad imigracją. Odwoływanie się do tawnej, lub nawet nielegalnej siły roboczej przystaje do światowej rywalizacji i tworzy szarą strefę, nie zapewniającą pracownikom wielkiej ochrony. Znajdują się oni w niepewnej pozycji i grozi im, że staną się ofiarami wyzysku, co do

którego mieliśmy nadzieję, że po stu latach emancypacji został wykorzystany.

W xx wieku rządy krajowe coraz głębiej zaczęły wniknąć w życie swoich obywateli. Naturalnie, obok chęci rządzenia ludźmi, jest to również wyraz cywilizacji, w tym sensie, że choroba, bezrobocie bądź starość nie muszą prowadzić do popadnięcia w ubóstwo. Obecnie dążenie do równości znalazło się pod presją liberalizacji w ekonomii oraz wycofujących się rządów, które coraz mniej wierzą w możliwość istnienia społeczeństwa decydującego o własnej formie. Zakłóca to demokrację parlamentarną, gdyż obywatele nadal mają wysokie wymagania wobec rządu, ten jednak w coraz mniejszym stopniu pragnie regulować życie ekonomiczne. Jednakże nie jest jeszcze jasne, na jakim poziomie żywotna demokracja mogłaby zrealizować coś oznaczającego.

Ma to określić następstwa, gdyż bez silnych instytucji i przekraczającej granice kultury demokratycznej globalizacja światowa doprowadzi do kryzysu i konfliktów. Mieliśmy z tym do czynienia wcześniej. W przededniu pierwszej wojny światowej panował optymizm z powodu wzrastających powiązań ekonomicznych, który można porównać do obecnych oczekiwań. Nadzieje te zostały okrutnie zburzone i handel międzynarodowy się załamał. Dopiero mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych osiągnięto poziom powiązań ekonomicznych sprzed 1914 roku. W okresie międzywojennym zauważono wręcz ostry spadek między narodowej wymiany ekonomicznej, podobnie zakres ruchów migracyjnych uległ w tym samym okresie znacznemu ograniczeniu.

Bez wyznawanych powszechnie norm demokratycznych niemożliwy jest na dalszą metę wspólny rynek ani większa ruchliwość ludzi. Pierwsze reperkusje uwidacznia

już pojawienie się najróżniejszych ruchów populistycznych, które sprzeciwiają się globalizacji; wybuchy niezadowolonia widzieliśmy nie tylko na Zachodzie, lecz również w Azji. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, wbrew powszechnym oczekiwaniom, wybuchł kryzys ekonomiczny na Dalekim Wschodzie, gdzie przez wiele dziesięcioleci wydawało się, że wzrost ekonomiczny nie zna granic. Fotografia z tamtych czasów ukazuje grupę studentów, którzy z zapamiętaniem rozdeptyują stertę długopisów. Studenci pochodzą z Korei Południowej, a długopisy z Japonii. Po wyrazie determinacji na twarzach młodzieży widać, że nie chodzi tu o rozdżenie. Przypomina to raczej magiczny rytuał mający na celu wypowiedzenie zaklęcia w obliczu katastrofy. Motto brzmi: „Kupujcie koreańskie”. W ten sposób został wyrownany dawny rachunek. Z rachunkiem bieżącym wcale nie jest dobrze, tyle widać wyraźnie.

Obraz ten odzwierciedla poczucie bezradności, które ogarnęło mieszkańców jednej z największych potęg ekonomicznych w Azji, gdy rynek finansowy wielu krajów znalazł się nagle w stanie kryzysu. Poczucie bezradności szuka ujścia, anonimowe siły rządzące światowym rynkiem muszą uzyskać oblicze: japońskie, jak uważali studenci w Korei, żydowskie, jak twierdził premier Malezji, chińskie, co doprowadziło wielu obywateli Indonezji do agresywnych czynów wobec mniejszości, albo zachodnie, ponieważ „wybawiciele” z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego są na ogół biali i bezkompromisowi.

Kula ziemiska jest krucha. Ianiec z długopisami koreańskich studentów wyraźnie to uwidocznił. Międzynarodowieniu ekonomii mogą zagrozić brutalne konflikty lub nierównoważony rozwój społeczny, gdyż rynek światowy nie jest zjawiskiem naturalnym, tylko opiera się na stabilnych stosunkach, narodowych i międzynarodowych, które

wymagają zorganizowania. Obecnie wydaje się, że polityka poniosła klęskę wobec ekonomii, ale w chwili ortwartego kryzysu okaże się, że jest na odwrót. Krótko mówiąc, liberalna utopia pokojowych stosunków międzynarodowych, wypływających ze wspólnych interesów handlowych, może zostać okrutnie zaburzona przez konflikty narodowe lub etniczne.

Aktualne borykanie się z imigracją musimy postrzegać na tle podobnych napięć. Poszukujemy nowej równowagi. Ale bardzo często dowodzi się, że wskutek niemożliwej do opanowania imigracji różnice w ramach kraju stają się większe, a różnice między poszczególnymi krajami mniejsze. Zaakceptowawszy to rozumowanie, dobrze byłoby uświadomić sobie jego następstwa. Nieograniczona imigracja oznacza, że światowe kontrasty powtarzają się w naszych wielkich miastach, że do demokracji liberalnych przynikają ubóstwo i ignorancja, a także konflikty etniczne i ekstremizm religijny.

Niektórzy uważają, że zachodnia klasa średnia nie może przeżyć bez podklasy i że musimy importować tę podklasę, gdyż wskutek wzrostu poziomu społecznego nie można już znaleźć we własnym kraju taniej siły roboczej. W ciągu ostatnich dziesięcioleci zaczęliśmy się orientować, do czego to może doprowadzić. Odpowiedzią na wzrastające zależności między różnymi krajami z pewnością nie może być zamknięcie się. Europa stała się w końcu częścią gospodarki światowej. Ale jak wielkie mogą się stać wskutek globalizacji dystanse społeczne i kulturowe, zanim zniszczone zostanie wzajemne zaufanie obywateli do siebie oraz ich zaufanie do swoich przedstawicieli?

Zmiana koloru społeczeństwa i jego starzenie się

Tak więc globalizacja ekonomiczna i wiążąca się z nią imigracja głośno domagają się uregulowania. Społeczności zachodnie znajdują się pod wielką presją. Z jednej strony zrozpaczeni ludzie szukający szczęścia w zamożnych częściach świata, a z drugiej przyjmujące ich społeczności, w których coraz silniej dochodzi do głosu opór wobec imigracji. Badania przeprowadzone w krajach Unii Europejskiej wykazały, że mniej więcej dwie trzecie mieszkańców popiera ograniczenie imigracji. To samo dostrzegamy również w klasycznych krajach imigracyjnych. Rząd Australii prowadzi od połowy lat dziewięćdziesiątych politykę przyhamowywania napływu ludności.

Często wskazuje się na fundamentalną sprzeczność między powszechnie akceptowaną możliwością opuszczenia ojczyzny a ogromnymi ograniczeniami wiążącymi się z dostępem do innego kraju. Tę sprzeczność – „swobodne opuszczenie” i „ograniczony dostęp” – zaostrza jeszcze globalizacja. Podczas gdy mieszkańcy zamożnego świata mają swobodę poruszania się, uznajemy jednocześnie za coś niemal równie oczywistego, że mieszkańcy krajów uboższych powinni w miarę możliwości pozostawać zamknięci w granicach swojego świata. Brytyjski ekonomista Philippe Legrain nazywa to formą niemożliwego do utrzymania „globalnego apartheidu”, którego nie powinno się usprawiedliwiać.

Ograniczenia w dopuszczaniu do kraju nie dotyczą przeważnie imigrantów o wysokich kwalifikacjach. Ci są nieliczni i mile widziani, gdy w określonych zawodach od czuwane są braki; wystarczy pomyśleć o hinduskich informatkach bądź lekarzach z Filipin. Różnice opinii dotyczą przede wszystkim nisko wykwalifikowanych imigrantów-

-robotników oraz ich rodzin. Tych uznaje się za obciążenie dla państwa opiekuńczego i w mniejszym stopniu niż dawniej liczy się na awans społeczny ich dzieci. W większości europejskich rządów doprowadziło to do postawy utrzymywania w tym zakresie pewnego dystansu.

Jednak słychać również apele, by taką imigrację zarobkową wręcz stymulować. Przytacza się w tym celu najróżniejsze argumenty. Z jednej strony wynikają one z chęci utrzymania własnego dobrobytu: to my o to prosimy, ci ludzie są nam potrzebni, abyśmy mogli zachować swój styl życia. Drugi rodzaj argumentów wskazuje na istniejące w świecie nierówności: nie tyle my o to prosimy, ile oni nam oferują, a bierzcie się to z przepaści dzielącej Północ i Południe. W ten sposób w apelowaniu o większy poziom imigracji wspierają się wzajemnie myślenie wolnorynkowe oraz nieuznająca granic solidarność.

Przyjrzyjmy się najpierw motywacji ekonomicznej. Jaki zysk odnosią społeczeństwa przyjmujące nisko wykwalifikowanych imigrantów? Rezultaty głównie powojennej imigracji sprawiły, że w wielu krajach europejskich udziela się na to pytanie powściągliwej odpowiedzi. W jednej z monografii czytamy na przykład: „W obecnych warunkach, w wypadku takiej gospodarki jak holenderska, zysk netto czerpany z imigracji jest niewielki, a może nawet godny pominięcia”. Przekonamy się również, że zyski ekonomiczne z powojennej imigracji rozczarowują nie tylko w Holandii. Konkluzja, którą wyciąga z tej sytuacji komisja doradcza, to przykład niezdecydowania, charakteryzującego go sporą część polityki rządowej: „Wobec oczekiwania, że pozostaniemy krajem imigracyjnym, można zaznaczyć, że jest to, samo w sobie, skonstruowanie faktycznej sytuacji, a nie określenie pożądanego rozwoju”. Naturalnie, dla polityki szczególnie istotne jest jednak pytanie, czy określony

rozwój sytuacji jest pożądany, czy też nie. To samoprzynieś się do bezradności raczej podkopało akceptację nowej imigracji przez społeczeństwo, niż ją wspomogło.

Nie unikniemy pytania, jakiej imigracji pragniemy. Wnioski Centralnego Biura Planowania są jasne: „Nie można oczekiwać żadnych pozytywnych efektów rozległej imigracji dla rynku pracy”. Pewną rolę odgrywa w tej opinii doświadczenie z pracownikami cudzoziemskimi. Pod presją życia gospodarczego, wynikającą z potrzeby taniej i chętniej siły roboczej, sprowadzono wówczas obcokrajowców do takich krajów, jak Francja, Niemcy i Holandia. Przyniosło to wiele niezamierzonych skutków, widać widocznych w społeczeństwach, które miały z tym do czynienia. Dzięki zakładaniu i jednoczeniu rodzin mieszka obecnie w Holandii około sześciuset tysięcy osób pochodzenia tureckiego i marokańskiego, to znaczy „dziesięciokrotnie więcej niż maksymalna liczba robotników cudzoziemskich, pracujących w określonym momencie w Holandii”, jak pisze socjolog Han Entzinger. Za dwadzieścia lat obie te społeczności jeszcze się podwoją, będą więc liczyły ponad milion osób.

Biorąc pod uwagę te następstwa imigracji zarobkowej na dłuższą metę, należy rozważyć nie tylko uzasadnione skądinąd interesy życia gospodarczego, lecz również koszty społeczne powstające w momencie, gdy praca przestaje być potrzebna, tak jak miało to miejsce po kryzysie paliwowym z 1973 roku. Teraz, gdy wszyscy apelują o przybycie nowych nisko wykwalifikowanych imigrantów zarobkowych – posługując się takimi hasłami, jak „praca sezonowa” i „imigracja rotacyjna” – musimy postawić sobie pytanie, czy te dziedziny gospodarcze, które tak bardzo polegają na nisko wykwalifikowanych i często również nielegalnych imigrantach, mają przyszość.

Spójrzmy na wymagające intensywnej pracy ogrodnictwo. Wskutek globalizacji przez cały rok na całym świecie dostępne są w krajach rozwiniętych warzywa i owoce. Dlaczego mielibyśmy konkurować z krajami o niskich zarobkach, które znakomicie mogą zaspokoić tę potrzebę, a ponadto dzięki temu mogą się rozwijać? Jest to sprawa delikatna, ale uzależnienie od często nielegalnych pracowników nasuwa wniosek, że w takim kraju, jak Holandia, ta dziedzina gospodarki nie ma żadnej przyszłości. Lepiej myśleć z wyprzedzeniem, niż stosować podjęte wobec nielegalnej imigracji nieodpowiednie środki – takie jak subsydia i cła importowe – aby utrzymać w obecnej formie na przykład ogrodnictwo szklarniowe, ponosząc przy tym wysokie koszty ekologiczne.

W nieco dalszej perspektywie następstwa imigracji nisko wykwalifikowanych osób są z pewnością problematyczne. Po pierwsze, taka imigracja zmniejsza nacisk na przedsiębiorstwa, aby wprowadzały innowacje. Przedłuża to walkę o przetrwanie nierentownych dziedziczy przemysłu i w ten sposób na krótko powoduje przyrost miejsc pracy, wciąż pozostaje jednak pytanie, czy naprawdę wychodzi to na dobre gospodarce jako całości. Historyk John Higham konstatuje na przykład, że w Ameryce restrykcyjne prawa dotyczące imigracji, obowiązujące od początku lat dwudziestych, zmuszały do zwiększenia poziomu inwestycji: „Zmniejszenie imigracji zachęcało do inwestowania w maszyny, dlatego też ograniczenie to prawdopodobnie przyczyniło się do wzrostu gospodarczego”. Również Gérard Noiriel stwierdza, że we Francji wpływ pracy niewykwalifikowanych robotników na industrializację był dwuznaczny. Korzystanie z tego typu pracowników z pewnością przyczyniło się do wypełnienia luk w przemyśle ciężkim i rolnictwie, ale

jednocześnie zahamowało innowacyjność, na przykład w górnictwie.

Innym powodem, dla którego zyski z imigracji często rozczerawują, jest to, że wraz z trwałym osiedlaniem się pierwszego pokolenia, punkt ciężkości przesuwa się z osób aktywnych na nieaktywne. Pierwsze pokolenie robotników cudzoziemskich jest początkowo bardzo produktywnie, lecz naturalnie dzieci, kobiety i starsi, którzy w coraz większym stopniu zaczynają formować część społeczeństwa imigrantów, niosą ze sobą koszty społeczne. Z biegiem lat początkowa pozytywna równowaga z łatwością może przekształcić się w równowagę zakłóconą. Przykład społeczeństwa tureckiego w Niemczech mówi sam za siebie: podczas gdy w 1961 roku pracowało czterdzieści siedem procent Niemców, dotyczyło to aż osiemdziesięciu procent imigrantów tureckich, lecz w 1984 roku udział na rynku pracy zmniejszył się diametralnie na korzyść rdzennego społeczeństwa: czterdzieści siedem procent wobec czterdziestu pięciu. Po-tem udział tureckich imigrantów obniżył się jeszcze bardziej, do nieco poniżej czterdziestu procent, co oznacza zmniejszenie o połowę w stosunku do okresu sprzed trzydziestu lat.

Sedno problemu nie tkwi w tym, że nowo przybyli odbierają pracę miejscowej ludności. Z pewnością w czasach wysokiej koniunktury wypieranie rodzimych mieszkańców stwarza mniejszy problem, niżby się wydawało, gdyż dzięki swojej aktywności imigranci tworzą również nowe miejsca pracy. Ale amerykański ekonomista George Borjas wykazuje jasno, że obecna imigracja, również w Stanach Zjednoczonych, przyczynia się do zwiększenia nierówności społecznych: dobrobyt odpływa od pracowników, którzy konkurują z imigrantami, a napływa do kieszeni pracodawców oraz innych osób, korzystających z usług imigrantów. Związa-

konkluzja Borjasa brzmi: „Pracownicy tracą, ponieważ imigranci obniżają wysokość zarobków. Pracodawcy zyskują, ponieważ imigranci obniżają wysokość zarobków”. Mowa tu więc o dokonywaniu istotnych wyborów, związanych z tym, jak społeczeństwo jest postrzegane przez ludzi.

Pytanie brzmi, czy odwoływanie się do nisko wykwalifikowanych imigrantów można połączyć z rozbudowanym systemem pomocy społecznej. Imigracja w czasach państwa opiekuńczego to zjawisko bez precedensu. Nigdy przedtem imigranci nie mogli liczyć na wysoki poziom ochrony. Problem nie polega na tym, że szczerze udzielanie wsparcia społecznego przyciąga wielu imigrantów; większość nie podjęła ryzyka porzucenia wszystkiego po to, by następnie „korzystać” z zasiłku. Nie, oni przybyli, aby pracować, po czym zostali uchwyteni w sieć opieki społecznej. Niezależnie od tego, jaka była ich motywacja, holenderscy badacze Entzinger i van der Meer stwierdzają, że rezultaty nie są pozytywne: „Wskutek konfrontacji między otwartym społeczeństwem imigracyjnym a zamkniętym państwem opiekuńczym powstają formy uzależnienia, których w zasadzie nikt nie pragnie, a które w dodatku mogą stać się kosztowne”.

Niemówność połączenia ze sobą kraju imigracyjnego i państwa opiekuńczego skłoniła niektórych do konkluzji, że imigranci powinni mieć możliwość liczenia na opiekę społeczną dopiero po pewnym czasie. Od 1996 roku imigranci w Stanach Zjednoczonych mogą się o nią ubiegać po pięciu latach pobytu, chociaż prawo to nie jest realizowane bardzo konsekwentnie. W Australii obowiązuje okres dwóch lat. Kryje się za tym myśl, że imigranci, którzy nie mają pracy, muszą postarać się przeżyć lub wrócić do swojego kraju. Patrząc jednak z perspektywy na historię pracy robotników cudzoziemskich, widzimy, że zastosowanie wobec nich

tej zasady wcale nie zmieniłoby późniejszych rezultatów. Większość robotników cudzoziemskich uzyskała bowiem status bezrobotnych dopiero po dziesięciu, piętnastu latach produktywności pracy, tak więc również w tym innym systemie zdobyliby prawo do całkowitego zasiłku.

Niektórzy uważają, że nowa imigracja jest zjawiskiem nieuchronnym z powodu starzenia się naszych społeczeństw, co będzie wywierało coraz większą presję na system opieki społecznej. Również tę opinię można w pewnym stopniu zakwestionować. Demografia zajmująca się między innymi prognozowaniem rozwoju ludności to dziedzina piękna, ale niepewna. Wystarczy spojrzeć na przewidywania z lat sześćdziesiątych, kiedy powszechnie mówiło się o dwudziestu milionach Holendrów w roku 2000. Ostatecznie osiągnięliśmy liczbę aż o cztery miliony mniejszą, którą więc może zapewnić, że obecne prognozy dotyczące najbliższych trzydziestu lub czterdziestu lat na pewno się spełnią.

Musimy teraz żyć z tym poczuciem niepewności i prawdą jest, że tak czy owak starzenie się społeczeństwa zmieni stosunek między grupą osób w przedziale wiekowym 15-65 lat, a tymi liczącymi ponad 65 lat. Państwo opiekuńcze opiera się na założeniu, że stosunek ten powinien wynosić mniej więcej 5 : 1, to znaczy na każdych pięciu pracujących przypada jedna osoba, która żyje z emerytury. Obecnie doszło już jednak do tego, że w Europie Zachodniej stosunek ten wynosi 4 : 1, a w nadchodzącym półwieczu przesunie się w kierunku 2 : 1. Krótko mówiąc, oznacza to, że coraz mniej będzie ludzi pracujących, aby wspierać tych, którzy są zależni.

Tak więc również system emerytalny znajduje się pod coraz większą presją, zwłaszcza w takich krajach, jak Niemcy, które stosują system repartycyjny, polegający na tym, że pracujący zarabiają na emeryturę dla osób starszych,

oczekując, że ich dzieci uczynią to samo dla nich. Ten „kontrakt międzypokoleniowy” jest oparty na wzrastającej liczbie ludności, a nie na malejącej. Podczas gdy spośród kobiet urodzonych w Niemczech w roku 1940 jedna na dziesięć pozostała bezdzietna, wśród kobiet z rocznika 1970 dzieci nie ma jedna na trzy. Udział osób ponad sześćdziesięcioletnich – w 1950 roku 14,6 procent – w roku 2050 wzrośnie do 36,7 procent. Liczba osób poniżej lat dwudziestu zmaleje w tym samym okresie z 30,9 do 16,1 procent.

Demografowie Michael Teitelbaum i Jay Winter twierdzą słusznie, że „zbieżność przyrostu naturalnego poniżej poziomu reprodukcji z imigracją na wielką skalę sprawia, że polityka ludnościowa staje się kwestią wybuchową”. Utrzymywanie poziomu reprodukcji prostej oznacza, że każda para małżeńska powinna mieć co najmniej dwójkę dzieci, które ją zastąpią. Ogólnie biorąc, niemal we wszystkich krajach rozwiniętych przyrost ludności wyraża się wartością niższą niż przyjęty poziom reprodukcji 2,1, co doprowadzi do zmniejszenia się liczby ludności, jeśli wstrzyma się imigrację. Rozróżnienie w Europie bar-dzo zmaląta. Kiedy porównujemy średnie z lat 1950-1955 z latami 1995-2000, widzimy wszędzie wyraźny spadek współczynnika dzietności: we Francji z 2,73 do 1,76, w Hiszpanii z 2,57 do 1,19, w Niemczech z 2,16 do 1,34, a w Holandii z 3,86 do 1,60.

W zindustrializowanym świecie można więc mówić o rewolucji demograficznej, która dogłębnie zmienia skład ludności. Pierwszym przykładem tej rewolucji jest Japonia – prognozuje się, że między rokiem 2000 a 2050 jej ludność skurczy się ze 127 milionów do 105 milionów – ale również w naszej części świata widoczna jest ta tendencja. Na przykład we Włoszech naukowcy przewidują w połowie wieku zmniejszenie się ludności z obecnych 57 milionów

do 41 milionów. Wskutek połączenia niskiego poziomu rozrodności i wysokiego poziomu imigracji coraz większą część przyrostu ludności przypisać można imigracji. Na przykład w 1960 roku mniej więcej połowę przyrostu ludności w Niemczech zapewniali rdzenni mieszkańcy, a drugą połowę – imigracja. W 1990 roku niemal cały przyrost ludności można było przypisać imigracji. Rozwój sytuacji w innych krajach europejskich potwierdza ten obraz. Ameryki dotyczy to w mniejszym zakresie: w 1960 roku jedną ósmą przyrostu ludności można było przypisać imigracji, a w 1990 roku udział ten wzrósł do jednej trzeciej. Porównywalne wartości widzimy w Kanadzie: w 1960 roku jedna dziesiąta, a trzydzieści lat później niemal połowa przyrostu ludności była spowodowana przybyciem imigrantów.

Za działaniami mającymi na celu zwiększenie liczby urodzin w takich krajach jak Francja kryje się również opór przeciw zmianom koloru ludności. Motto pewnego niemieckiego polityka było jeszcze wyraźniejsze: „Kinder statt Inder”, w wolnym przekładzie: chętniej własne dzieci niż informatycy z Indii. Tak brutalne sformułowanie nie jest żadnym rozsądnym rozwiązaniem, ale należy postawić pytanie, z czego ono wynika. Co mówi niska liczba urodzin o dynamice społeczeństwa? Czy oczywiście jest, że narody europejskie znalazły się w punkcie, w którym zaczynają się kurczyć pod względem liczby ludności?

Niezależnie od tego, co myślimy na temat imigracji, zmiany kulturowe widoczne w niskiej liczbie urodzin są czymś wyjątkowym. Nigdy dotąd nie byliśmy świadkami kurczenia się społeczeństwa w czasach pokoju. Na temat następstw kulturowych starzenia się społeczeństwa możemy spekulować, ale można założyć, że w rezultacie stanie się ono mniej dynamiczne. Niemiecki demograf Franz-Xaver Kaufmann zauważył, że podobny trend może z łatwością

prowadzić do wielkich napięć, nie tyle między klasami, ile między pokoleniami. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że stagnacja demograficzna jest powiązana z kryzysem ekonomicznym oraz utratą elastyczności społecznej. Podczas gdy wskutek globalizacji wzrasta wciąż nacisk na społeczeństwa, aby się przystosowywały, demograficzne cofanie się sprawia, że zdolności przystosowywania tych samych społeczeństw stają się coraz mniejsze.

Tego przewrotu, który w najbliższym czasie znacznie wywierać duży wpływ na nasz styl życia i porządek społeczny, nie może skompensować imigracja z krajów pozaeuropejskich. Gdybyśmy chcieli zachować w Holandii do roku 2050 te same proporcje pokoleniowe, saldo imigracji musiałoby wynosić rocznie około trzydziestu tysięcy, to znaczy dziesięciokrotnie więcej niż obecnie. Wówczas w 2050 roku ludność osiągnęłaby stan trzydziestu dziewięciu milionów, po czym od nowa powstałby problem starzenia się społeczeństwa, gdyż również imigrantom przybywa lat.

W innych krajach rezultaty są porównywalne. Instytut ONZ zajmujący się prognozami ludnościowymi obliczył to dokładnie w pewnej monografii, której ukazanie się w roku 2001 wywołało szok. Jeśli do 2050 roku pragniemy utrzymać proporcje pokoleniowe społeczeństwa na tym samym poziomie, europejska imigracja netto musiałaby wynosić rocznie około dwudziestu pięciu milionów. To niemal pięciokrotnie więcej niż obecnie. W okresie pięćdziesięciu lat potrzebnych byłoby około 1,3 miliarda imigrantów, co stanowi podwójną liczbę obecnej ludności Europy. Również bardziej powściągliwe ambicje w stosunku do starzenia się społeczeństwa prowadzą do ogromnych liczb imigrantów, co zaburzyłoby życie mieszkańców naszego kontynentu. Gdyby nawet Europa pragnęła jedynie zachować liczbę ludności na obecnym poziomie, i tak rocznie potrzebne

byłyby w sumie dwa miliony imigrantów. Mówiąc krótko, samo starzenie się społeczeństwa nigdy nie może być argumentem dla masowej imigracji nisko wykwalifikowanych osób.

Ponadto, przyciąganie imigrantów o niskich kwalifikacjach przestało być potrzebne ze względu na dostępnych już obecnie słabo wykształconych pracowników. Wskutek aktualnego i przyszłego rozszerzenia Unii Europejskiej o kraje Wschodu, a później prawdopodobnie również o Turcję, uwolnił się ogromny potencjał taniej siły roboczej. Napływy tych nowo przybyłych, którzy po okresie przejściowym mogą swobodnie się poruszać, sprawia, że apelowanie o imigrację spoza pęczniającej Unii staje się co najmniej przedwczesne. Liczba osób trafiających z samej tylko Polski do takich krajów, jak Wielka Brytania, przekracza wszelkie oczekiwania. Liczono na dziesiątki tysięcy, a przybyli setki tysięcy.

Ponowne odwoływanie się do pracy robotników cudzoziemskich, chociaż nazywamy ją teraz pracą sezonową, to pójdzie po linii najmniejszego oporu. Jak się okazuje, debata na temat imigracji i integracji części konfrontuje społeczeństwo z jego własnymi brakami. W ten sposób omija się problem nieaktywności pewnej części siły roboczej. Taki wniosek można wyciągnąć z pracy Emmera i Wansinka, którzy bez pardonu spisują na straty półtora miliona osób uzależnionych od pomocy społecznej: „Spora część korzystających z zasiłków to ludzie, którzy nie mają już szans na rynku pracy”. W innym miejscu zauważają, że jest to nie tyle kwestia braku szans, ile braku chęci: „Holendrzy czują się zbyt dobrzy dla wykonywania pewnych zawodów i dlatego prace te bez imigrantów stają się nie do zapłacenia”. Mowa tu o zawodach z dziedziny opieki nad ludźmi, lecz również o pracy w ogrodnictwie.

W tym określeniu „nie do zapłacenia” kryje się przyznanie, że nie tyle chodzi o to, iż rdzenni mieszkańcy nie chcą już wykonywać określonej pracy, ile przede wszystkim o to, że grupa ta przestała wykonywać tę pracę za obowiązujące wynagrodzenie. Amerykański badacz Thomas Sowell twierdzi, że „istnieje bardzo niewiele zawodów, które można określić jako całkowicie niepotrzebne”. Jeśli imigracja uległaby zmniejszeniu, „wiele posad zostałoby objętych przez rdzennych mieszkańców za wyższe wynagrodzenie”. Krótko mówiąc, często takie zawody, jak sprzątacza, wykonywane są przez imigrantów, lecz nie oznacza to, że bez imigracji zabrakłoby sprzątaczek. Na przykład w Japonii, która w niewielkim stopniu ma do czynienia z imigracją, za pewne usługi płaci się więcej. Czyż nie jest dobrym pomysłem, aby najpierw usunąć przyczyny tego niewystarczającego udziału w rynku pracy, zanim uciekniemy się do imigracji zarobkowej?

Pewni ekonomiści twierdzą z naciskiem, że wzrastający poziom wykształcenia społeczeństwa niesie za sobą powstanie dużego niedoboru siły roboczej o niskich kwalifikacjach. Co jednak można powiedzieć o drugim pokoleniu, o dzieciach robotników cudzoziemskich? Obecnie w Holandii połowa młodzieży tureckiej i marokańskiej opuszcza szkołę bez specjalnych kwalifikacji. Ekonomista Arie van der Zwan twierdzi z przekonaniem: „Ułatwiają imigrację zarobkową, przynajmniej się po cichu, że wielki arsenał słabo wykształconych i niezintegrowanych alochtonów, korzystających obecnie z zasiłku lub zapomogi, nie wraca nigdy do pracy. Jest to tragedia wielkich miast”. Tak więc w nadchodzących latach będzie istnieć spora rezerwa nisko wykwalifikowanej siły roboczej. Skoro nie udaje nam się skłonić ich do pracy, jakie złudzenia mamy co do nowego pokolenia poszukujących pracy imigrantów?

Pytanie to nabiera większego znaczenia, jeśli uświadomimy sobie, że wraz z każdym imigrantem przybywają po upływie pewnego czasu członkowie jego rodziny, wskutek czego ograniczona emigracja zarobkowa może prowadzić w ramach jednego lub dwóch pokoleń do powstania pokalnych społeczności etnicznych. Rzadko bierze się pod uwagę te długoterminowe skutki. Mając na uwadze problemy integracji, z którymi borykają się wielkie miasta, nie jest dobrym pomysłem ponowne decydowanie się na sporą imigrację nisko wykwalifikowanych osób. W ten sposób wiele z nich zostaje przedwcześnie skreślonych, podczas gdy naszym zadaniem jest teraz przewartościowanie całego kontraktu społecznego. Chodzi o państwo opiekuńcze, które ma zobowiązania, a zarazem do czegoś zobowiązuje, a to co innego niż płynięcie z prądem globalizacji.

Klasyczne kraje imigracyjne

W debacie dotyczącej zysków ekonomicznych płynących z imigracji niezmiennie wskazuje się na klasyczne kraje imigracyjne: Stany Zjednoczone, Australię i Kanadę. Tam rzekomo stawia się imigrantom wyraźniejsze żądania, wskutek czego imigracja wywołuje o wiele mniej oporu niż w Europie. Przeprowadzenie porównania jest więc istotne, między innymi dlatego, że stanie się wówczas jasne, iż również w tych krajach toczy się dyskusja wokół zagadnienia zysków, jakie niesie ze sobą imigracja. Także tam widoczny stał się opór wobec imigracji, który można porównać do dyskomfortu odczuwanego w Europie.

W klasycznych krajach imigracyjnych rozwój sytuacji był porównywalny. Po pierwsze, były to pierwotnie kraje niezbyt gęsto zaludnione, które poprzez przyciąganie

imigrantów stały się krajami otwartymi. W historii każdego z nich miały miejsce wypieranie i eksterminacja pierwotnych mieszkańców, wszystkie też cechuje tożsamość uformowana częściowo przez doświadczenia „pionierów”. Podobój kraju w sferze przyrody, na przykład dzięki daniu linii kolejowych, odbywał się między innymi dzięki pracy wciąż nowych pokoleń imigrantów. W historii Ameryki, Australii i Kanady imigracja odgrywała więc od początku wielką rolę w procesie formowania narodu.

Historia imigracji w tych krajach jest również podobna do pod innymi względami. Uderzające jest tu wspólne pochodzenie imigrantów. W zasadzie do lat sześćdziesiątych zapewniano imigracji z Europy pełną swobodę, podczas gdy silnie zniechęcano do przybywania ludzi z innych części świata. Jednym z pierwszych praw, które przyjął parlament australijski po oderwaniu się w 1901 roku od Wielkiej Brytanii, była ustawa o nazwie Immigration Restriction Act, w której określono, że ten, kto przybywał do Australii, nie mógł stanowić obciążenia dla środków publicznych ani instytucji dobroczynnych. W tym prawie, które obowiązywało do roku 1958, dyskretnie ustalono również tak zwaną Politykę Białej Australii: kolorowi nie byli mile widziani. Nigdy nie powiedziano tego wprost, lecz praktykowano to między innymi przez stosowanie tak zwanego *dictation test*, który zdaniem australijskiego historyka imigracji Jamesa Jupp'a był „prawdopodobnie największym przejawem hipokryzji w długiej historii imigracji australijskiej”. Było to dyktando zawierające pięćset słów, odczytywane przez urzędnika imigracyjnego, aby sprawdzić, czy dana osoba potrafi czytać i pisać. Test ten działał odstraszająco: dla każdego było jasne, że imigranci spoza Europy nie mają szans. Tak więc nie przybywali.

Podobnie jak w przypadku Australii, w Kanadzie przez długi czas obowiązywały przy selekcji imigrantów względy rasowe. Pewien dokument rządowy z 1910 roku artykułuje to bardzo wyraźnie: „Nasza polityka ma na celu uczynienie wszystkich, aby nie dopuszczać do kraju niepożądanych imigrantów”. Jak zostają opisani tacy niepożądani imigranci? To „ci należący do narodowości, które mają niewielką szansę asymilacji, wskutek czego uniemożliwiają uformowanie jednolitego narodu składającego się z osób o tych samych zwyczajach i ideałach”. Wielki opór okazywano zwłaszcza wobec imigracji azjatyckiej. Słowa premiera Mackenzie Kinga z 1947 roku: „Imigracja na wielką skalę ze Wschodu mogłaby fundamentalnie zmienić skład ludności kanadyjskiej” – stały się tymczasem nieaktualne.

Historii imigracji amerykańskiej poświęcimy jeszcze osobny rozdział. Tu wystarczy pierwsze odniesienie do „stosunku nienawiści-miłości”, jak określa się czasem stosunek Ameryki do imigracji. Stany Zjednoczone wcześniej zaczęły regulować sprawę imigracji. Na początku odbywało się to w skromnym zakresie i dotyczyło głównie przedstawiania się imigracji azjatyckiej, czego przykładem jest Chinese Exclusion Act z roku 1882, który wycofano dopiero w 1943 roku. W okolicach przelotu wieków stała imigracja z Wielkiej Brytanii, Irlandii, Niemiec i krajów skandynawskich została zdystansowana przez nową imigrację z Włoch, Polski i Rosji oraz z Półwyspu Bałkańskiego. W tych latach dał się zauważyć szerszy opór przeciw imigracji, co ostatecznie doprowadziło do praw z 1924 roku, które usiłowały zamrozić proporcje etniczne na korzyść imigrantów z zachodu i północy Europy. Panujący ówczesnie klimat podsumowała wypowiedź prezydenta Calvina Coolidge'a: „Istnieją względy rasowe, które zbyt

wiele znaczą, aby je pominąć ze względów sentymentalnych. Rasy skandynawskie rozmnażają się efektywnie. W wypadku innych ras, rezultaty są gorsze”. Prawa wprowadzone w 1924 roku obowiązywały przez długi czas, a egzekwowano je dość konsekwentnie.

Od lat sześćdziesiątych zaczęto krok po kroku odchodzić od tych kryteriów rasowych, między innymi z powodu ruchu na rzecz praw obywatelskich oraz krytyki polityki kolonialnej. Miało to spektakularne następstwa dla składu i rozmiaru strumienia imigracji. W Australii, podobnie jak w Kanadzie, od końca lat siedemdziesiątych dominuje imigracja azjatycka. Obecnie udział Azjatów w całkowitej imigracji wynosi około czterdziestu procent. Na przykład jedna trzecia ludności Sydney jest pochodzenia azjatyckiego. W 1970 roku dwadzieścia procent ludności urodziło się za granicą, w roku 2000 liczba ta wzrosła do jednej czwartej, więcej niż w Kanadzie i USA, gdzie udział tak zwanych *foreign-born* wynosi odpowiednio około dwudziestu i dziesięciu procent.

Od lat sześćdziesiątych poza strumieniem imigracji azjatyckiej Stany Zjednoczone mają do czynienia z napływem przybyszów z Ameryki Łacińskiej, notując szczególnie wzrost liczby imigrantów z sąsiedniego Meksyku. Obecnie wychodzi się z założenia, że w połowie tego wieku mniej więcej jedną czwartą ludności Ameryki będą stanowić Latynosi, czyli imigranci z krajów hiszpańskojęzycznych. We wszystkich trzech wspomnianych krajach imigracja europejska obniżyła się tymczasem do około dziesięciu procent całkowitej liczby nowo przybyłych. Kanada, Australia i Stany Zjednoczone – które niegdyś były produktem brytyjskiego kolonializmu – powoli, lecz zdecydowanie odcinają się pod względem etnicznym od swojego pochodzenia. Stały się krajami, które w coraz większym stopniu ogarniają

cały świat. Przekształcenie społeczeństwa nie odbywa się bezproblemowo, wszędzie też widoczny jest opór wobec nowej imigracji.

Często uważa się, że już od bardzo dawna klasyczne kraje imigracyjne stawiają ludziom pragnącym się w nich osiedlać o wiele wyraźniejsze żądania. Okazuje się, że w praktyce potoczyło się to niezupełnie zgodnie z planem. W zasadzie dopiero od 1967 roku w Kanadzie i od 1979 roku w Australii zwraca się większą uwagę na kwalifikacje. Wraz z odrzuceniem polityki imigracyjnej skierowanej na Europę, coraz częściej wprowadza się nowe kryteria. Można powiedzieć, że zmieniono jedynie sposób selekcjonowania: kryteria ekonomiczne wypierają kryteria etniczne. W latach dziewięćdziesiątych ten nacisk na przydatność ekonomiczną zaczął się zwiększać. Jeśli przyjrzymy się podziałowi na trzy kategorie imigrantów – zakładających rodziny (*family*), imigrantów zarobkowych (*skills*) oraz poszukiwaczy azylu (*humanitarian*) – ujrzymy w Kanadzie wyraźne przesunięcie z imigracji rodzinnej na rzecz zarobkowej. Jest to próba stawienia czoła wzrastającemu kryzysowi związanemu z zalegalizowaniem imigracji, która tymczasem osiągnęła poziom ponad dwustu tysięcy osób rocznie. Kanadyjski filozof Will Kymlicka opisał pod koniec lat dziewięćdziesiątych ten kryzys w następujący sposób: „Niegdyśjsze poczucie pewności siebie i optymizmu Kanadyjczyków, że potrafią poradzić sobie ze swoimi problemami, ustąpiło miejsca przeświadczeniu, że sprawy wymykają się im z rąk”.

W połowie lat dziewięćdziesiątych takie samo przesunięcie ma miejsce w Australii, ale w odróżnieniu od Kanady, całkowita imigracja obniża się tam do niecałych stu tysięcy osób rocznie. W Australii, która zdaniem Juppa „posiada najbardziej restrykcyjny system kontroli ze wszystkich

demokracji”, od 1979 roku imigrantów zarobkowych obowiązuje system punktowy, w którym najważniejsze są wykształcenie, znajomość języka angielskiego, wiek oraz kwalifikacje do wykonywania zawodów, na które jest zapotrzebowanie. Realizacja tego systemu wymagała sporo modyfikacji, głównie dlatego, że dość szybko znajomości języka angielskiego zaczęto przypisywać mniejsze znaczenie. W połowie lat osiemdziesiątych historyk Geoffrey Blainey ostrzegł: z ułomną znajomością języka związane są nie tylko wysokie koszty ekonomiczne, koszty społeczne są jeszcze wyższe – „konsternacja, samotność, nieporozumienia i uprzedzenia”. Uważał on również, że za bardzo wyróżniano imigrację rodzinną, przez co do kraju napłynęło zbyt wielu niewykwalifikowanych imigrantów. Wysłuchano tej krytyki i krok po kroku zastrzeżono żądania wobec chętnych do osiedlenia się. Ponadto rząd wydłużył okres, w którym imigranci nie mają dostępu do opieki socjalnej, z sześciu miesięcy do dwóch lat.

W ostatnich dziesięcioleciach Ameryka miała do czynienia z innym rozwojem sytuacji, chociaż również tam od czasu wprowadzenia w życie nowego prawodawstwa w 1965 roku w imigracji przeważa zakładanie i łączenie rodzin. Dotyczy to około siedemdziesięciu procent całości. Od Kanady i Australii różni USA to, że dopiero od lat dziewięćdziesiątych ostrożnie pracuje się nad stymulowaniem wykwalifikowanej imigracji zarobkowej, która występuje wprawdzie obok imigracji ze względów rodzinnych, lecz jej nie zastępuje. Obok grup interesów etnicznych w Stanach Zjednoczonych istnieją często ugrupowania religijne, które stają w obronie imigracji członków rodziny jako warunku zachowania tradycyjnej moralności.

Istotną cechą obecnej sytuacji jest to, że z wyjątkiem paru ostatnich lat, w żadnym z klasycznych krajów

immigracyjnych imigranci zarobkowi nie formują większości osób przybywających do danego kraju. Na temat znaczenia ekonomicznego migracji w kilku ubiegłych dziesięcioleciach wydaje się powściągliwe opinie. W pewnym raporcie australijskim z 1995 roku, a więc przed politycznym zwrotem w stronę „ekonomicznego racjonalizmu”, stwierdzono: „Posługiwanie się migracją jako środkiem polityki makroekonomicznej jest nieskuteczne, gdyż nie wpływa na najważniejsze zmienne ekonomiczne”. Zdaniem Juppaa, jest to rzetelne podsumowanie debaty w jego kraju. W Kanadzie doradcy organ ekonomiczny rządu doszli w 1991 roku do podobnej konkluzji: roczny wzrost liczby imigrantów o sto tysięcy wniósłby do gospodarki niewiele. Socjolog Peter Li podsumowuje wyniki kanadyjskich badań następująco: „W odniesieniu do gospodarki kanadyjskiej w okresie powojennym [widać] skromny efekt pozytywny lub neutralny ekonomicznie”.

Sąd Borjasa, który sam przybył do Ameryki jako uchodźca z Kuby, na temat zysku ekonomicznego płynącego z migracji w USA, jest dość zdecydowany. W swojej klasycznej już książce *Heaven's Door* (Drzwi do nieba) analizuje on fale migracji z lat pięćdziesiątych, między innymi wielu wysoko wykształconych Europejczyków i Kanadyjczyków. Ci przyniosli zyski, lecz migracja z lat siedemdziesiątych i późniejszych – głównie nisko wykwalifikowani Azjaci i Latynosi – przyniosła o wiele mniejsze korzyści. Autor w uzasadniony sposób szacuje, że udział netto imigrantów w gospodarce krajowej jest „zdumiewająco niski”. Borjas obliczył, że gdyby w Stanach Zjednoczonych zastosowano wobec wszystkich imigrantów kanadyjski system punktowy, to nie zostałyby dopuszczonych czterdzięci procent spośród nich. Takie sankcje dotknęłyby poszczególnych grup imigrantów w różnym stopniu: spośród imigrantów

angielskich odrzucono by zaledwie sześć procent, spośród imigrantów hinduskich dziewięćnaście procent, podczas gdy odmówiono by wstępu siedemdziesięciu procentom Portugalczyków i trzem czwartym Meksykanów.

Również w klasycznych krajach migracyjnych stwierdzono zmniejszenie poziomu wykształcenia imigrantów, a zarazem wzrost wydatków rządowych, między innymi wskutek stosunkowo częstego korzystania nowo przybyłych z opieki socjalnej oraz inwestowania w oświatę dla dzieci nieznających języka. O ile imigranci w Stanach Zjednoczonych zarabiali jeszcze w 1960 roku przeciętnie o 4,1 procent więcej niż rdzenni mieszkańcy, o tyle w 1990 roku proporcje się odwróciły – imigranci zarabiali wówczas o 16,3 procent mniej. Ekonomista Timothy Hatton i Jeffrey Williamson, którzy dokonali przeglądu dwóch wieków masowej migracji, wskazują na dystans istniejący między dokonaniem na rynku pracy miejscowej ludności a osiągnięciami nowo przybyłych. Dystans ten, podobnie jak pod koniec XIX wieku, szybko się powiększył, ale w ciągu połowy wieku po roku 1950 przepaść ta stała się znacznie większa niż w ciągu połowy wieku po roku 1870. Wskutek stosunkowo mniejszej opieki socjalnej ze strony państwa liczba pracujących imigrantów jest większa niż w większości krajów europejskich, co stanowi istotną różnicę. Jednak podobnie jak w Europie, w klasycznych krajach migracyjnych toczą się zacięte dyskusje, a w opinii publicznej przeważa restrykcyjna postawa w stosunku do nowej migracji.

W tym samym okresie w Stanach Zjednoczonych doszło do polemiki dotyczącej przede wszystkim meksykańskich imigrantów, z których wielu przebywa w kraju nielegalnie. Usiłowania nadania tym szacunkowo trzynastu milionom nielegalnych osób legalnego statusu pobytowego

poprzez odpowiednie prawodawstwo na razie się nie powiodły. Opór społeczny wobec szybkiego wzrostu liczby nowo przybyłych, do którego obszernie powrócimy, ukazuje, że również w „narodzie imigrantów”, za który uważa się Ameryka, otwarcie na obcych nie jest czymś absolutnie oczywistym. Wręcz przeciwnie, w różnych momentach historycznych pojawiły się ruchy skierowane przeciw imigracji i wprowadzono restrykcyjne prawa. To, co przeżywamy obecnie, jest nowym epizodem we wciąż powracającym oporze wobec imigracji.

Narzuca się konkluzja, że imigranci powinni być dobrze wykształceni. Obecnie aż czterdzieści procent kanadyjskich imigrantów posiada wykształcenie akademickie, lecz wielu z nich pracuje na niższych stanowiskach, gdyż nie udaje im się nostryfikować dyplomów uzyskanych w ojczyźnie. Złośliwy dowcip głosi, że Toronto szczyli się najlepiej wykształconymi taksówkarzami na świecie. Uznanie dyplomów jest problemem również w Europie: w obliczu braku odpowiednich regulacji, talent takich osób pozostaje nie wykorzystany.

Podjęcie decyzji o zwiększeniu imigracji wiąże się nie tylko ze sprawą zysków, lecz również z zagadnieniem tożsamości. Trzeba zadać sobie pytanie, czy pragniemy uodbornić się do klasycznych krajów migracyjnych, takich jak Stany Zjednoczone, Kanada i Australia. Czy zdecydowawszy się na to, uznamy to za polepszenie współżycia społecznego? W odniesieniu do zorganizowanej polityki migracyjnej tych krajów – czego przykładem jest system punktowy – Kanada i Australia mogą być dla Europy przykładem. Stosunkowo liberalna polityka Ameryki, która dopuszcza corocznie dużą liczbę imigrantów, nie stawiając im wielu żądań, jest dla naszej części świata mniej atrakcyjna. Musimy powrócić do pytania, czy

dalsze przyjmowanie imigrantów – w obliczu pierwszego ich pokolenia stanowiącego około piętnastu, dwudziestu procent ludności – jest korzystne dla społeczeństwa w sensie ekonomicznym i kulturowym.

Migracja a pomoc dla krajów rozwijających się

Rozważwszy argumenty ekonomiczne, które przemawiają za stymulowaniem imigracji, możemy skierować uwagę na argumenty natury humanitarnej, przemawiające za zwiększeniem jej poziomu. Społeczności europejskie nie odnoszą per saldo korzyści z wielkiej liczby nisko wykwalifikowanych imigrantów z krajów rozwijających się, dlatego też wielu zwolenników swobodniejszego migrowania przyjmuje inną podstawę myślenia. Potrzeba kraju przyjmującego nie jest tu decydująca, motywacją do apelowania o otwieranie granic stanowi poprawa bytu imigranta. Zgodnie z tym punktem widzenia przyjmowanie imigrantów jest formą udzielania pomocy krajom rozwijającym się.

Tego typu rozumowanie zastosowano w publikacji *People Flow* (Przeptyw ludności): „Powinności poradzić sobie z ruchami ludności, przyjmując za podstawę ich potrzeby i ambicje”. Autorzy przyznają, że wskutek imigracji znikają dobrze znane społeczności, ale dorzucają dość lakonicznie: „Proponujemy, aby »po prostu« pogodzić się z tą stratą i z konieczności uczynić cnotę, zegnając się z tożsamością, która i tak nam się wymknęła”. Wielką zaletą takiego podejścia jest dokonanie wyraźnego wyboru. Skoro przemieszczenie się nędzy i analfabetyzmu niesie ze sobą zmniejszenie przepaści między Północą a Południem, musimy to zaakceptować. Taki wybór sprowadza się do moralnego uzasadnienia imigracji.

Konsternację wywołuje to, że praktyczne skutki humanitarnej motywacji są takie same jak wówczas, gdy za podstawę przyjmujemy interesy ekonomiczne zasobniejszej części świata. Jak widzieliśmy, zdaniem niektórych, rozwinięta klasa średnia nie może istnieć bez podklasy niewykształconych imigrantów, którzy wykonują pracę fizyczną i usługową. I tak zasady moralne z łatwością mogą przekształcić się we własny interes. Multikulturowość i liberalizm rynkowy mają wiele wspólnego: w obu wypadkach poważnie wątpi się w wartość kompromisu społecznego w ramach własnych granic. Wyraźnie uwidacznia to również brytyjski ekonomista Philippe Legrain w swoim apelu „Let Them In” (Pozwólmy im przybyć), skierowanym do zwolenników wolnego rynku po prawej oraz „internacjonalistów” po lewej stronie sceny politycznej. W ten sposób w debacie na temat imigracji krzyżują się ze sobą tradycyjne linie podziału.

Niezależnie od tego, czy podobny wybór jest pożądanym dla krajów rozwiniętych, powstaje pytanie, czy taka postawa może pomóc biedniejszym krajom. Istnieje wiele wątpliwości co do związku między stopniem rozwoju a imigracją. Na pewno poważny jest argument istnienia w krajach rozwijających się zjawiska *brain drain* (drenaż mózgow). Co najmniej skrupowanie budzi fakt przybycia do Holandii tysiąca dwustu południowoafrykańskich pielęgniarek – najwidoczniej sami uznajemy, że wykonywanie tej pracy jest poniżej naszej godności – podczas gdy te same pielęgniarki o wiele bardziej potrzebne są w swojej ojczyźnie. Prezydent RPA Nelson Mandela skarżył się, że personel medyczny opuszcza jego kraj. Ponad siedemdziesiąt procent wykształconych osób z obszaru Karaibów oraz sześćdziesiąt procent podobnej grupy ludności z Gambii pracuje w bogatszej części świata. Dotyczy to również

jednej czwartej wykształconych osób z Ghany. Kraj ten dysponuje sześcioma lekarzami na sto tysięcy mieszkańców, podczas gdy w takich państwach, jak Wielka Brytania czy Kanada, na sto tysięcy mieszkańców przypada dwustu dwudziestu lekarzy.

Castles i Miller piszą o Egipcie, z którego najwięcej emigrantów wyruszyło do Arabii Saudyjskiej: „Emigracja zarobkowa przyczyniła się bez wątpienia do zmniejszenia problemu chronicznego bezrobocia, ale wskutek tego Egipt stracił również pilnie potrzebnych pracowników wykwalifikowanych”. Ponadto na podróż do nieznanego celu decydują się przeważnie najbardziej przedsiębiorczy ludzie, których energia przysłużyła się do rozwoju gospodarczego ich ojczyzny. Ich wyjazd bywa wprawdzie zaworem bezpieczeństwa dla napięć społecznych – duża liczba sfrustrowanej młodzieży może doprowadzić do wybuchu niepokojów – ale wraz z imigrantami znika również w pewnym stopniu chęć wprowadzania reform.

Ze społeczności emigrantów płyną jednak z powrotem do ich ojczyzny pieniądze, tak zwane *remittances* (prze-kazy pieniężne). Szacuje się, że to sześćdziesiąt, a nawet sto miliardów dolarów rocznie. Jeśli chodzi na przykład o Maroko, obliczono, że w roku 2000 napłynęły tam ze społeczności emigrantów mniej więcej dwa miliardy dolarów, co równoważy jedną trzecią wartości całkowitego eksportu i dwukrotnie przewyższa wartość wszystkich zagranicznych inwestycji w kraju. Dla krajów pochodzenia imigrantów z ich wyjazdem wiąże się zatem znaczne korzyści. W każdym razie w skali światowej chodzi o sumę, która znacznie przekracza oficjalną pomoc dla krajów rozwijających się. Już w 2001 roku zarejestrowane przekazy pieniężne były 2,6 razy wyższe od całkowitej wartości tej pomocy.

Brytyjski ekonomista Nigel Harris widzi w tych przelewach olbrzymią szansę i podkreśla, że opór wobec imigracji zwiększa nierówność w skali światowej: „Kontrolowanie imigracji w krajach rozwiniętych narzuca wysokie koszty krajom rozwijającym się”. Harris wskazuje na obliczenia świadczące o tym, że wskutek emigracji dwóch procent pracowników z krajów rozwijających się rocznie przepływa do nich z powrotem suma czterdziestu, pięćdziesięciu miliardów dolarów. Jego konkluzja brzmi: „Być może największą szansą, aby usunąć światową nędzę, jest otwarcie rynku pracy krajów rozwiniętych dla pracowników z reszty świata”.

Można więc w uzasadniony sposób stwierdzić, że przyjmowanie imigrantów jest formą pomocy dla krajów rozwijających się, która działa o wiele efektywniej niż ta udzielana przez rządy i organizacje charytatywne. Pieniądże napływają bowiem bezpośrednio do rodzin, nie muszą rozdzielanych powtórnie kosztowni pracownicy organizacji ani skomponowane rządy. Ale niektórzy wątpią, czy te przekazane pieniądze rzeczywiście w dużym stopniu przyczyniają się do rozwoju krajów pochodzenia imigrantów. Wskazuje się na to, że środki finansowe, nadchodzące od członków najbliższej rodziny oraz dalszych krewnych przebywających za granicą, zostają przeznaczone przede wszystkim na wydatki konsumpcyjne, a nie zainwestowane w produktywny sposób. Inni natomiast udowadniają, że dzięki tym przekazom dzieci dłużej mogą uczęszczać do szkoły w ojczyźnie, gdyż nie muszą iść do pracy, aby zarabiać na rodzinę.

Dyskusja na temat tego, czy emigracja z krajów rozwijających się jest pożądana, czy nie, sprawia, że przepaść między Północą a Południem staje się przedmiotem zainteresowania. Często mówi się, że nierówność w skali światowej ogromnie wzrosła. Australijski filozof Peter Singer

prezentuje wskaźniki przeczące temu twierdzeniu. Poza zmniejszeniem różnicy w sile nabywczej między najbiedniejszą a najbogatszą dwudziestoprocentową częścią ludności świata, wskazuje on, na przykład, na przewidywaną długość życia w krajach rozwijających się, która na przełomie wieków wzrosła do ponad osiemdziesięciu procent długości życia w krajach uprzemysłowionych. W 1960 roku przeciętna przewidywana długość życia w krajach Trzeciego Świata była o wiele niższa, mianowicie wynosiła zaledwie sześćdziesiąt procent tej wartości dla krajów zachodnich. Ale niezależnie od tego, w jaki sposób mierzymy nierówność w świecie, oczywiste jest, że imigracja wywiera znaczny wpływ, zwłaszcza na obszary graniczące ze sobą i charakteryzujące się wysoką różnicą zarobków ludności, takie jak Meksyk i Stany Zjednoczone bądź Europa i Afryka Północna. Jeśli zamkniemy granice dla większości nisko wykwalifikowanych imigrantów oraz ich rodzin, gdyż uznamy, że wniesiona przez nich dodatkowa wartość jest mniejsza niż koszty ich pobytu, przyniesie to ze sobą inne zobowiązania.

Nie chodzi tu tylko o pomoc dla krajów rozwijających się – przy czym musimy stwierdzić, że całkowita suma przeznaczona na tę pomoc obniżyła się do około 0,25 procent wartości produktu krajowego brutto krajów bogatych – ile przede wszystkim o politykę handlową. Dlaczego nie zaczęto o wiele poważniej myśleć o otwarciu naszych rynków oraz o międzynarodowym podziale pracy? Ten, kto pragnie zmniejszyć utrzymującą się presję imigracji, nie ucieknie przed koniecznością zmniejszenia ograniczeń handlowych, by w takich sektorach, jak rolnictwo, mógł rozwijać się dobrobyt poza Europą. Utrzymujemy obecnie pod każdym względem sztuczny przemysł ogrodniczy, podczas gdy pod słońcem północnoafrykańskim wszystko mogłoby rosnąć

w bardziej naturalny sposób. Światowa Organizacja Handlu ustaliła, że bogatsze kraje wspomagają swoją produkcję rolną, przeznaczając na to w całości sumę aż miliarda dolarów dziennie, co ponad sześciokrotnie przekracza kwotę przeznaczaną na pomoc dla rozwijających się biednych krajów.

Pozwólmę przybyć tutaj towarom, aby ludzie mogli pozostać u siebie. Niestety, również to nie jest sprawą prostą. Trudno bowiem uznać za bardzo prawdopodobne, że otwarcie rynku doprowadzi do zmniejszenia liczby imigrantów. Co do związku między imigracją a rozwojem ekonomicznym zgadzają się w niewielu kwestiach, lecz zgodni są co do tego, że rozwój ekonomiczny doprowadzi w pierwszej fazie wręcz do wzrostu poziomu imigracji. Rzadko migrują najbardziej, brak im na to środków finansowych. Brytyjski filozof Michael Dummett pisze, że „pierwszym rezultatem poważnej próby uwolnienia krajów od ich nędzy może być zwiększenie, a nie zmniejszenie liczby ludzi, którzy je opuszczają, aby znaleźć się w zamożniejszym państwie”. Po okresie migracji ze wsi do miast następuje etap wyruszania do krajów zachodnich. Udowodnia to emigracja z chińskiej prowincji nadmorskiej Fujian, która wraz z szybkim rozwojem ekonomicznym, z jakim ma do czynienia ten region, znacznie wzrosła.

Na dalszą metę taki rozwój doprowadzi jednak do zmniejszenia poziomu imigracji. Udowodnia to Unia Europejska, gdzie swoboda przemieszczania się nie spowodowała ogromnych ruchów migracyjnych, mimo że jeszcze przed rozszerzeniem się na Wschód istniały w Unii różnice dochodów sięgające trzystu procent. Przyczyną ruchów migracyjnych nie są bowiem różnice w poziomie dobrobytu, lecz w o wiele większym stopniu brak perspektyw we własnym kraju. Jeśli ludzie dostrzegają w ojczyźnie

trwały postęp, pęd do emigracji w końcu maleje, nawet gdy dystans dzielący ich od świata zachodniego pozostaje wciąż znaczny.

Barczo często ci, którzy zastanawiają się nad związkiem między imigracją a rozwojem, usiłują poprzez rozważania moralne obrazem nieuniknionego zagrożenia. Podkreślają nie tyle niesprawiedliwość sytuacji, ile niemożność powstrzymania obecnej wędrowności ludów. Wskazują przy tym na dane demograficzne. Liczba ludności świata wynosiła w 1990 roku 5,3 miliarda, a z szacunków wynika, że w roku 2025 świat będzie liczył 8,5 miliarda ludzi. Aż dziewięćdziesiąt pięć procent tego wzrostu przypada na kraje Trzeciego Świata. Kraje rozwijające się mają do czynienia z ogromnym wzrostem ludności, podczas gdy świat rozwinięty boryka się z malejącym przyrostem naturalnym, lub nawet kurczeniem się liczby ludności.

Te przeciwstawne kierunki rozwoju można w zasadzie pogodzić dzięki strumieniowi migracji płynącemu z Południa na Północ. Amerykański historyk Paul Kennedy rozumie wprawdzie sprzeciw wobec takiej masowej wędrowności ludów, ale stwierdza, że „wielkie dysproporcje między trendami demograficznymi społeczeństw »posiadających« i »nieposiadających« sprawią, iż prawdopodobnie w nadchodzących dziesięcioleciach pojawią się ogromne fale migracji. Twierdzi on również, że eksplozja ludności ma dalekosiężne skutki dla środowiska. I to nie jedynie w tych krajach, lecz również w krajach zamożniejszych. „Podobnie zagrażająca masowa imigracja niesie ze sobą problem ekologiczny polegający na tym, że – być może po raz pierwszy – to, co dzieje się na Południu, może wyrządzić szkody Północy”. Jeśli kraje rozwijające się pozostaną w pułapce ubóstwa, Kennedy spodziewa się, że w efekcie pojawienia się milionów imigrantów dojdzie do „stanu obłędzenia”.

Pod tą diagnozą podpisuje się francuski pisarz i były do-
radca rządowy Jacques Attali. „Masowa imigracja z Afryki,
połączona z dopywem do krajów zachodnich o większym
dobrobycie zapędzonych w kozi róg Europejczyków ze
Wschodu doprowadzi do wzniesienia nowego muru ber-
lińskiego – muru usiłującego powstrzymać ludzi z peryferii
przed szukaniem ucieczki w ośrodkach zamożnej Północy”.
Jeśli nie podejmiemy się żadnych kroków, pogranicze świata
dobrobytu zaczną charakteryzować wojna i przemoc. Wy-
raźne jest tutaj nawoływanie do ograniczenia własnych
interesów. Kraje zachodnie będą musiały interweniować,
aby proporcje między Północą a Południem uczynić spra-
wiedliwszymi, gdyż poprzez imigrację Południe może za-
burzyć świat dobrobytu. Innymi słowy: wskutek ruchów
migracyjnych wzajemne powiązania w świecie tak wzrosły,
że pragnąc zapobiec „stanowi obłężenia”, Północ musi przy-
ciągnąć do siebie coś z Południa.

I Attali, i inni przedstawiający takie zagrożenia, propo-
nują rozsądnie brzmiącą motywację. Pragną oni, aby kraje
zachodnie zdawały sobie sprawę ze swojej odpowiedzialno-
ści, jeśli nie ze względów moralnych, to z uwagi na dobre
rozumiany interes własny. Nie da się długo utrzymać na
dystans niezadowolonia szerzącego się w biednych czę-
ściach świata. Mieszanina zaangażowania moralnego i lęku
przed zamieszkami społecznymi była niegdyś powodem
dokonania podziału na biednych i bogatych w krajach eu-
ropejskich, dlatego więc nie można by powtórzyć takiej
operacji na skalę światową?

Jednakże na razie możliwości wywierania presji przez
kraje ubogie na kraje zamożne są mniejsze, niż się dowo-
dzi. Doświadczenie wielkich metropolii, takich jak Nowy
Jork czy Rio de Janeiro, uczy tymczasem, że możliwe jest
istnienie tuż obok siebie ekstremalnych różnic społecznych.

Skoro zamożne dzielnice mogą się chronić przed znajdującymi się tuż obok dzielnicami slumsów, z pewnością dotyczy to także „dzielnice” dobrobytu „globalnej wioski”. To pewne, że imigracja tworzy nową formę zależności między Północą a Południem, ale świat zachodni dysponuje licznymi możliwościami obrony przed zaburzeniami, które przepowiadają wspomniani pisarze. Innymi słowy: powinniśmy poważnie potraktować pytania moralne stawiane przez imigrację i przestać liczyć wyłącznie na własne interesy.

Ponadto wzbudzające grozę scenariusze przewidujące „stan obłężenia” nie prowadzą do większego otwarcia świata. Przeciwnie, skłaniają one obywateli do coraz większego barykadowania się. Nowoczesne media sprawiają, że niemal jednocześnie docierają do nas informacje z całego świata, wskutek czego żąda się od nas zbyt wiele. Strumień złych wiadomości odwołuje się do naszych sumień, wymagając działania, ale możliwości podjęcia go są ograniczone. Przedstawianie obrazu świata jako miejsca, które podlega prawom ślepego losu, prowokuje do niefrasobliwego odrzucenia wszelkich zobowiązań.

O wiele trudniej trwale poszerzyć granice odpowiedzialności niż apelować o współczucie na krótką metę. Jak można sprawić, aby rosła świadomość kruchości obecnej sytuacji przeżyła się na otwartość, a nie na zamykanie przed innymi? Nie unikniemy chronienia się przed niepożądanymi ruchami migracyjnymi ani poważnego za-
stanowienia się nad warunkami bardziej sprawiedliwych zasad handlu światowego. Zmniejszanie produkcji rolnej będzie operacją bolesną, to samo dotyczy umorzenia długów, z czym wiąże się określenie jasnych warunków. Ale jeśli politykę ograniczenia imigracji chcemy pogodzić z rosnącą odpowiedzialnością za otaczający nas świat, nie ma innej drogi.

Etyka ruchliwości

Zasadnicza kwestia polega na tym, w jaki sposób możemy nadać formę społeczeństwu otwartemu w świecie pozbawionym granic. Na pierwszy rzut oka pytanie to wydaje się dziwne, czyż bowiem w miarę zmniejszania liczby granic i swobodniejszego poruszania się wszystkich ludzi, społeczeństwo nie staje się automatycznie bardziej otwarte? Jednakże nie można zbyt łatwo zakładać tej otwartości, a pierwszym potwierdzeniem, że warto zachować ostrożność, jest pojawienie się ruchów szafujących sloganami w rodzaju „pełne oznacza pełne” albo „zamknąć granice”. Slogany te prowadzą do impasu i nigdy nie powinny być wytyczną postępowania wobec imigrantów lub uchodźców. Sprawiają one jednak, że problem staje się widoczny.

Można wskazać dwa niebezpieczeństwa zagrażające społeczeństwu otwartemu. Pierwszym jest wędrowka ludów, która przekracza możliwości socjalne i kulturowe danego społeczeństwa. Istnieją granice tego, z czym rdzenni mieszkańcy mogą i pragną sobie poradzić, nie można mieć co do tego złudzeń. Kolejne ryzyko to fakt, że sposób, w jaki zarządza się sprawą imigracji, może zaprzeczać istocie liberalnego państwa prawa. Nikt nie chce kraju zatrutego kontrolą polityczną, dowodami tożsamości, ostrzejszym strzeżeniem granic i zdrajcami.

Czy udaje nam się znaleźć kompromis między humanitarnymi zobowiązaniami a nieuleganiem presji wywieranej przez imigrację? Po pierwsze, nie powinno się uważać globalizacji za stan naturalny. Jakże często słychać, że opór wobec określonych następstw globalizacji gospodarki jest czymś w rodzaju sprzeciwiania się pogodzie, mianowicie przedsięwzięciem bezsensownym. Konsekwencją takiego myślenia jest pogląd, że wywieranie wpływu na poruszanie

się ludzi jest niemożliwe: legalni bądź nielegalni, imigranci będą przybywać z ubogich krańców świata do jego bogatego centrum. Jak się przekonałszy, rozumowanie to nie znajduje potwierdzenia w faktach, powinniśmy więc się bronić przed tym zastraszającym aspektem rozważań o globalizacji.

Poszukujemy moralnego uzasadnienia ruchliwości. Skoro we własnym kraju nie udaje nam się znaleźć wzoru postępowania wobec tych, którzy umykają przed światowym nieładem – uchodźców, zagubionych poszukiwaczy szczęścia, łączących się członków rodzin, jak również przebywających tu nielegalnie cudzoziemców – wówczas jakakolwiek pretensja do stymulowania mniej lub bardziej sprawiedliwego porządku poza naszymi granicami będzie daremna. Normy odnoszone do świata zewnętrznego są wiarygodne tylko wtedy, gdy stosujemy je do kształtowania naszego własnego społeczeństwa.

Rzeczywiście, obecne ruchy migracyjne prowokują istotne pytania moralne. Ograniczymy się tutaj do następujących dylematów: Czy państwa mogą odmówić prawa wstępu obywatelom innych krajów, którzy pragną emigrować? W jaki sposób możemy odpowiedzialnie określić, kto rzeczywiście jest uchodźcą? I w końcu, czy dopuszczamy nielegalną imigrację, przymykając oko, czy też próbujemy maksymalnie ją wytepić? Są to pytania, z którymi borykamy się codziennie, na które reakcją często jest obojętność bądź przeciwnie, górnolotne deklaracje.

Przyjrzyjmy się najpierw argumentom tych, którzy pryncypialnie apelują o otwarte granice. Na przykład, Michael Dummett uważa, że w prawie międzynarodowym istnieje uderzająca sprzeczność. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka głosi, że każdy ma prawo opuszczenia swojego kraju i powrotu do niego. Jednocześnie nigdzie nie zostało

napisane, że istnieje ogólny obowiązek przyjmowania gdzie indziej ludzi, którzy opuszczają swój kraj, z wyjątkiem osób, które określa się mianem uchodźców. Krótko mówiąc, prawo emigrowania jest powszechnym ludzkim prawem, lecz zderza się ono z ograniczoną polityką imigracyjną, która nadal jeszcze podlega suwerenności narodowej. Dummett konkluduje, że należy wycofać się z tej suwerenności i że obowiązek przedstawienia dowodu powinien leżeć po stronie krajów, które danego imigranta pragną wykluczyć: „Zasada otwartych granic powinna zostać przyjęta jako norma. Odstąpienie od niej może zostać uzasadnione jedynie w bardzo wyjątkowych okolicznościach”.

Kryje się za tym myśl, że rdzenni mieszkańcy nie mają w stosunku do nowo przybyłych specjalnych praw. Kim jesteśmy, aby egzekwować „prawo przysługujące urodzonemu najpierw”, co to znaczy, że kraj należy do jego mieszkańców? Ta wielowiekowa spuścizna jest do dyspozycji wszystkich, dlaczego przypadkowi mieszkańcy mieliby do tego wyjątkowe prawo? Wszyscy przecież jesteśmy nowi w kraju, na który trafiamy w momencie narodzin. Przywodzi to na myśl wcześniejsze propozycje, aby podwyższyć podatek od spadku do stu procent. Dlaczego dzieci mają mieć prawo do majątku zgromadzonego przez ich rodziców? Analogia jest jasna: dlaczego rdzenni mieszkańcy mieliby mieć prawo do bogactwa zdobytego przez ich dalekich przodków? Przypadkowość miejsca, w którym człowiek się rodzi, nie może przecież mieć żadnego moralnego znaczenia, jak argumentuje Dummett. Ale ta zasada kłóci się z myślą, że społeczeństwo opiera się również na kontrakcie zawartym między pokoleniami. Nie budzi zdziwienia, że ci, którzy apelują o otwarte granice, mówią wyłączenie o prawach, gdyż temu, kto usuwa z życia społecznego wymiar historyczny, brakuje również poczucia wynikających z tego zobowiązań.

Każda społeczność istnieje dzięki granicom, które bywają mniej lub bardziej otwarte, ale określenie granic między osiadłą ludnością a obcymi jest niezbędne. Podkreśla to również amerykański filozof Michael Walzer: „Swoistość kultur i grup zależy od ich domknięcia i, w warunkach otwartości, nie może być pojmowana jako trwały element życia człowieka”. Dodaje do tego, że członkowie społeczności politycznej mają wspólne prawo do określania, kto zostaje dopuszczony, a kto nie. Wobec własnych mieszkańców państwa narodowe stosują zasady włączania i demokracji, lecz w stosunku do obcych zachowują się niedemokratycznie i wykluczają ich; w każdym razie nie trzymają się zasady równego traktowania, która oznacza, że każdy, kto tego chce, powinien zostać do nich dopuszczony.

Gdyby państwa odrzuciły wszelkie formy różnicowania między własnymi obywatelami a innymi, w następstwie mogłyby pojawić się o wiele bardziej przypadkowe formy zamykania się i samoobrony na niższym poziomie. Walzer mówi w związku z tym o „tysiącu drobnych twierdz”. Pierwszą oznaką takiego świata jest szybko wzrastające zjawisko *gated communities*, otoczonych murami dzielnic mieszkaniowych, w których funkcjonuje własny system ochrony. Z tymi manewrami wycofywania spotkano się również w czasie formowania takich miast, jak Rotterdam i Malmö, gdzie usiłowano na różne sposoby kształtować miejską politykę imigracyjną – na przykład wstrzymując na pięć lat jakąkolwiek imigrację lub nie przyjmując imigrantów o niskich kwalifikacjach – gdyż mieszkańcy czuli się niewystarczająco chronieni przez krajowy rząd.

Spółeczeństwo otwarte dąży do zapewnienia demokratycznego traktowania ludzi. Można w tym jednak znaleźć uzasadnienie selektywnej polityki imigracyjnej. Myron Weiner dostrzega, że „często istnieje konflikt między moralną

powinnością rządów, aby zapewnić bezpieczeństwo i dobrobyt własnej ludności, a moralnością bardziej uniwersalną, podkreślającą dobro każdego człowieka, niezależnie od miejsca jego zamieszkania". Nie można jednak ganić rządu za to, że przejmuje się następstwami imigracji dla własnej ludności. Weiner dodaje: „Brak wspaniałomyślności to nie to samo co niemoralność”.

Tak więc kiedy badamy imperatyw otwartych granic w aspekcie zasad demokratycznych, istnieją ważne argumenty przemawiające za tym, by różnie traktować rdzennych mieszkańców i nowo przybyłych. Politykę dopuszczania tych, którzy nie są obywatelami danego kraju, można uzasadnić moralnie. Nie oznacza to, że państwa nie mają żadnych fundamentalnych zobowiązań wobec obywateli spoza swoich granic. Branie pod uwagę problemów uchodźców świadczy o zaakceptowaniu tej odpowiedzialności, niezależnie od tego, jak trudne może się to okazać w codziennej praktyce.

Ten, kto pragnie określić, czy dana osoba kwalifikuje się do udzielenia jej statusu uchodźcy, nieuchronnie trafia do gniazda os. Czy możliwe jest bowiem, aby pewnie ocenić jakkolwiek historię ucieczki? A ponadto: czy konwencja genewska z 1951 roku dotycząca uchodźców, która pod wieloma względami związana była z problematyką praw człowieka w krajach komunistycznych, nie jest przestarzała? Dlaczego bowiem jako uchodźcy zostają określani jedynie ścigani przez własny rząd, a nie ci, którzy są ofiarami wojen domowych lub katastrof przyrodniczych? Dlaczego, na przykład, klęska głodu nie jest uznawana za uzasadniony powód do ucieczki?

Jednakże nie widać inicjatyw mających na celu poddanie pod dyskusję wspomnianej konwencji genewskiej; jedni obawiają się, że powtórne jej rozpatrzenie doprowadzi do

większych ograniczeń, podczas gdy inni wręcz przeciwnie, boją się rozszerzenia możliwości. Pozostaje zatem status quo, które zdaniem wszystkich w znacznym stopniu utrzyma obecnie swoją moc. Sprowadza się to do tego, że każdy, komu udaje się przybyć do zamieszkanego kraju (korzystając lub nie z pomocy przymyślników ludzi) i w nim utrzymać, ma dużą szansę, aby wcześniej czy później uzyskać pozwolenie na pobyt. Nawet uchodźców, którym odmówiono prawa pobytu, w rzeczywistości przeważnie nie wydalano z kraju. Dokłada się raczej starań, aby dramat stał się jak najbardziej niewidoczny, zatrzymując ludzi już na granicy lub błyskawicznie decydując, czy mogą się ubiegać o azyl.

Inny dylemat polega na tym, że państwa, które czują się zobowiązane do przyjęcia uchodźców, mogą gdzie indziej zostać uznane za współwinne ich ukrywania. Przyjmowanie uciekinierów z Kosowa pomogło Serbom w ich usiłowaniach usunięcia Albańczyków. Jest to pytanie, które re postawiła na początku lat dziewięćdziesiątych Wysoki Komisarz Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców Sadako Ogata: „Jak dalece powinniśmy przekonywać ludzi, aby pozostali tam, gdzie są, jeśli zagraża to ich życiu i wolności? Z drugiej strony, jeśli pomagamy im w opuszczeniu kraju, czy nie stajemy się współodpowiedzialni za »czystki etniczne«?”.

Ogólnie biorąc, gdy w latach dziewięćdziesiątych wzrosła liczba uchodźców, polityka Europy została zaostrzona. Doszło do tego, że w 1996 roku Kanada uznała za uchodźców około osiemdziesięciu procent poszukiwaczy azylu ze Sri Lanki, podczas gdy w tym samym roku Wielka Brytania nie rozpatrzyła pozytywnie prawie żadnego podania o azyl z tego kraju. Wszystko to działo się w imię tej samej konwencji genewskiej dotyczącej uciekinierów. Kraje europejskie, a także Australia, próbowały za pomocą licznych

sankcji zahamować sromień uchodźców. W Australii internowano poszukiwaczy azylu w bardzo złych warunkach w obozie mieszczącym się w oddalonej miejscowości Woomea. Ostra polityka doprowadziła w sierpniu 2001 roku do tego, że pełen uchodźców statek „Tampa” nie uzyskał pozwolenia na przybicie do brzegu. Wynikły z tego międzynarodowe protesty, a rząd australijski pospiesznie zawarł umowę z Papuą-Nową Gwineą, która za określoną opłatą wyraziła chęć przyjęcia niemogących dotrzeć do celu uchodźców.

Wraz z prawem do uzyskania azylu pojawiają się poważne pytania humanitarne, a pełna wahania postawa co do wprowadzenia w życie nowych ustaleń jest zrozumiała. Przyjęci uchodźcy poddani zostają często długotrwałej procedurze, a kiedy przeżyją w tymczasowych warunkach wiele lat – sami bądź z rodziną – coraz trudniej w razie odmowy usunąć ich ze społeczności i odesłać z powrotem. Wskutek takiej polityki ludzie ci przebywają w danym kraju nielegalnie, ze wszystkimi tego następstwami.

Dobrym przykładem jest sytuacja zaistniała w Holandii, kiedy to rząd usiłował wydalić poszukiwaczy azylu, którzy spotkali się z odmową. Wzbudziło to opór. Akcja „26 tysięcy twarzy” miała na celu wydobycie tych uchodźców z cienia dzięki sporządzeniu ich portretów. Oto jeden z przykładów: „Hazrat skończył za dwa miesiące dziewięć lat. Jak długo sięga pamięcią, mieszka w ośrodkach dla azylantów. Kiedy miał trzy lata, jego rodzice uciekli z Afganistanu przed talibami. Cała rodzina przebywa obecnie w Holandii. Jego dziadkowie i dwaj wujowie posiadają status azylanta, ale ojciec Hazrata go nie ma”. Podanie o azyl zostało odrzucone i rodzina musi opuścić kraj: „Hazrat chodzi do piątej klasy chrześcijańskiej szkoły podstawowej i codziennie się modli. »Proszę wtedy Boga, abyśmy mogli pozostać«.

Pokazuje, jak się modli jako muzulmanin, otwierając swoje małe dłonie. »Nigdy nie proszę o nic innego«. Skonfrontowany z całym tym ludzkim dramatem, nowy rząd ustanowił w końcu amnestię. Problem polega jedynie na tym, że każda z takich regulacji dostarcza kolejnych wyjątków i można założyć, że prędzej czy później doprowadzi to do kolejnej amnestii.

Na zakończenie przyjrzyjmy się problematyce nielegalnej imigracji. Jej zakresu z natury rzeczy nie da się łatwo określić, lecz pewne wyobrażenie daje liczba osób meldujących się w wypadku powszechnej amnestii. I tak, w 1986 roku Ameryka stworzyła osobom przebywającym nielegalnie możliwość zameldowania się w celu uzyskania pozwolenia pobytu. Skorzystały z tego prawie trzy miliony osób, w przeważającej części Meksykanie. Nie pomogło to jednak w zmniejszeniu liczby osób przebywających nielegalnie. Wręcz przeciwnie, po tej powszechnej amnestii przybyło o wiele więcej imigrantów bez pozwolenia pobytu, tak że liczbę nielegalnie przebywających osób szacuje się obecnie na dwanaście do trzynastu procent.

W 1987 i 1998 roku Włochy zalegalizowały łącznie osiemset tysięcy imigrantów. W 2004 roku, gdy Hiszpania uczyniła to samo, zameldowało się tam siedemset tysięcy osób. Całkowita liczba osób przebywających nielegalnie w Europie wynosi około ośmiu milionów, a z przybliżonych szacunków wynika, że rocznie dochodzi do tego od pięciuset do ośmiuset tysięcy nowych. Chodzi więc o znaczne grupy ludzi, a kraje południowoeuropejskie zmieniły się od lat osiemdziesiątych, między innymi wskutek nielegalnej migracji, z krajów emigracyjnych do imigracyjnych. W wypadku Hiszpanii dotyczyło to głównie nielegalnych imigrantów z Ameryki Łacińskiej, którzy dzięki znajomości języka mają mniej problemów z przystosowaniem się niż

inne grupy imigrantów. Ale po tym, jak ta masowa legalizacja doprowadziła do wielkiego napływu afrykańskich nielegalnych przybyszów poprzez Wyspy Kanaryjskie, rząd wycofał się ze zbyt pospiesznego uznawania imigrantów niemających prawa pobytu.

Niektórzy uważają, że wspomniałobyś przyjęcie imigracji zarobkowej zapobiegnie nielegalnym przyjazdom. Kryje się za tym myśl, że imigracja legalna i nielegalna to rodzaj naczynń połączonych w tym sensie, że czego w jednym z nich przybywa, tego ubywa w innym. Cóż jednak wspólnego ma zwerbowanie hinduskiego specjalisty informatyka z decyzją Senegalczyka, aby na rozchybotanej łódce przepłynąć Cieśninę Gibraltarską? Co wspólnego ma werbowanie wykształconych imigrantów z przemyceniem ludzi, który doprowadził do śmierci z uduszenia Chińczyków przebywających nielegalnie w przestrzeni ładunkowej samochodu ciężarowego? Te sprawy są zupełnie inne, co można dostrzec natychmiast, szczególnie w przypadku kraju imigracyjnego. Ameryka prowadzi dość liberalną politykę imigracyjną, a jak wspomniano, boryka się z ogromną imigracją nielegalną.

Nielegalni imigranci stali się towarem. Przykładem przemytu ludzi uprawianego w Chinach przez pośredników o wiele mówiącym przewisku „głowy węża” jest podróż Quiru Liao. „Z powodów znanych jedynie jej samej pozycja pieniądże na podróż (150 tysięcy juanów, czyli około 55 tysięcy złotych) od dyrektora fabryki odzieży, którego dobrze zna. Płaci połowę sumy „głowom węża”, z którymi skontaktowali ją rybacy. W porcie Guangzhou ukrywa się pod pokładem frachtowca. Cztery tygodnie spędza na morzu. Jedynym znany jej miejscem, do którego przybiła statek, jest Szanghaj. Pewnego dnia frachtowiec cumuje w rotterdamskim porcie. »Tam – przemysłnik wskazuje

na północ – leży Chinatown«. Kobieta rusza przed siebie: pierwszy raz w życiu znalazła się poza „Guangdongiem”. Quiru Liao jest jedną z wielu nielegalnych imigrantów, których traktuje się niezbyt serdecznie.

Poruszamy się niepewnie między skrajnościami: całkowita legalizacja bądź przeprowadzane na wielką skalę wydalanie osób przebywających nielegalnie. To wahanie w o wiele mniejszym stopniu jest umotywowane moralnymi rozważaniami, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Wszyscy wiedzą, że osoby przebywające nielegalnie naraziły się na różne niebezpieczeństwa i z łatwością trafiają do środowiska przestępczego. Jednego z badaczy skłoniło to do określenia ich mianem „przestępczości przetrwania”. Nawet jeśli nie jesteście skłonni usprawiedliwiać przestępstw w ten sposób, jasne jest, że nie da się uzasadnić idei pozostawienia nielegalnych mieszkańców. W końcu dochodzi do postawy „let them rot in their own privacy” (pozwólmy im gnić w ich własnym świątku). Dopóki nam to bezpośrednio nie przeszkadza, spoglądamy w inną stronę. Jeśli nie chce się zmuszać do egzekwowania prawa – a takie wrażenie sprawia większość krajów – to jedynym wyjściem jest okresowa amnestia powszechna dla osób przebywających nielegalnie. Wielką wadą takiego podejścia jest to, że zamiast odstraszać od procederu przemytu ludzi, raczej do tego zachęca.

Na przykładzie Ameryki dobrze widać, jakie problemy wiąże się z amnestią powszechną. W połowie lat osiemdziesiątych zawarto w tej dziedzinie kompromis: jednym elementem ustanowionego prawa była legalizacja przeprowadzona w Stanach w 1986 roku, podczas gdy jego drugi element zapewniał ostrzejsze sankcje wobec pracodawców zatrudniających osoby przebywające nielegalnie. W praktyce okazało się, że tego ostatniego nie egzekwowano, gdyż

sprzeciwiali się temu na przykład rolnicy z Południa. Wiadziemy tu ponownie niezwykle silny związek między tymi, którzy pragną usankcjonować nielegalny pobyt ludzi ze względów humanitarnych, a nieukrywającym interesem pracodawców, którzy nie mogą już się obejść bez nisko opłacanej, pozbawionej praw siły roboczej.

To samo można powiedzieć na przykład o Francji, gdzie istnieje wyraźna niechęć do karama przedsiębiorców, którzy przyjmują do pracy nielegalnych imigrantów. Historyk Patrick Weil pisze, że w latach osiemdziesiątych wiadziano o nielegalnych pracownikach krawieckich, lecz nie ingerowała w to ani policja, ani inspekcja pracy: „Mogły zatem zostać zlikwidowane, ale tak się nie działo, gdyż różne siły w społeczeństwie zgadzały się co do tego, iż nie powinno się stosować tego prawa”. Na nielegalny pobyt patrzy się przez palce, ponieważ działa jak olej usuwający tarcia na rynku pracy. We Francji zdecydowano się nie na powszechną amnestię, tylko na amnestię indywidualną; chociaż udziela się jej tysiącom osób rocznie, nie rzuca się to w oczy, dzięki czemu nie prowadzi do ostrych sporów politycznych.

Stawka jest wysoka. Trzeci Świat ruszył z miejsca i osiedla się w Pierwszym Świecie. Na pewno nie uda się zmniejszyć przepaści między Północą a Południem tak, aby chęć migracji w najbliższym czasie się zmniejszyła, może nie powiedzie się również zwalczenie migracji w inny sposób, przede wszystkim dlatego, że rządy zbyt mało się tym zajmują. Jeśli okaże się, że ruch ludności rzeczywiście jest nie do opanowania, wówczas ze sporą dozą pewności można przewidzieć, że zmiana porządku w ramach naszych granic przyczyni się do poważnej polaryzacji społeczeństwa. Wskutek tego demokracja znajdzie się pod permanentną presją.

Buntowanie się obywateli

W jaki sposób kryzys związany z imigracją może doprowadzić do poważnego szoku politycznego, przekonał się w ubiegłych latach w Holandii. Można by powiedzieć, że dołączyła ona do większości otaczających ją krajów, że zaczyna się upodabniać do średniej europejskiej. Lista tych państw stała się tymczasem powszechnie znana: Dania, Belgia, Szwajcaria, Norwegia i Austria, bez wyjątku nie wielkie kraje, w których w ubiegłych latach znaczną część wyborców pozyskały partie populistyczne. Ale zarysowanie się porównywalnego oporu wobec ustalonej polityki widzimy również w większych krajach, takich jak Włochy czy Francja.

Politolożka Pippa Norris przeprowadziła badania wśród wyborców tych partii w świecie zachodnim i podsumowała motywy ich głosowania. Po pierwsze, pewną rolę odgrywa obawa przed utratą statusu społecznego u narażonych na to grup, na przykład właścicieli małych firm, lecz również u nisko wykwalifikowanych pracowników. Jednakże powszechna opinia, że wszyscy głosujący na populistów tracą na globalizacji, jest zbyt uproszczona, gdyż wystarczająco dużo głosów na partie populistyczne oddaje lepiej sytuowana klasa średnia.

Poza obawami przed degradacją społeczną, u zwolenników takich partii, jak Vlaams Belang czy Front National, znaczenie mają również inne motywy. Wśród tych wyborców można stwierdzić ponadprzeciętny brak zaufania do sposobu funkcjonowania reprezentującej ich demokracji, lecz Norris ostrzega, aby nie widzieć w tym jedynie niezrozumiałej nienawiści. To, że ludzie niezbyt pozytywnie myślą o istniejącym porządku politycznym, może wpływać z niechęcią istniejących partii do liczenia się z ich życzeniami.

W końcu Norris wskazuje jeszcze inny motyw, mianowicie potrzebę ochrony kultury, w której decydującą rolę odgrywa opór przeciw masowej imigracji i wiążącej się z nią polityce multikulturowej. Nie istnieje prosty związek między liczbą imigrantów a zasięgiem elektoratu populistycznego, lecz u takich wyborców kulturowy „protekcjonizm” ma większe znaczenie niż obawa przed obniżeniem statusu społecznego.

Wyniki porównywalnego badania potwierdzają przypuszczenie, że obecne poczucie dyskomfortu w demokracji wpływa raczej z kulturowej niż społecznej linii podziału społeczeństwa, chociaż naturalnie obie mają ze sobą coś wspólnego. Musi przecież prowokować do myślenia fakt, że w stosunkowo „wyluzowanym” i otwartym społeczeństwie, jakim jest społeczeństwo holenderskie, tak szybko mógł się rozprzestrzenić bunt obywateli. I to po tylu latach dobrobytu. W wyborach 2002 roku polityk głoszący program sprzeciwiania się dalszej imigracji oraz postulat wzmocnienia porządku publicznego w ciągu kilku miesięcy dysponował drugą co do wielkości siłą polityczną w kraju. Nikt nie wie, jak daleko zaszedłby Pim Fortuyn, gdyby nie powstrzymano go w brutalny sposób. Być może ta nowość szybko by się znużyła, ale jak ktoś zauważył, wskutek jego śmierci nigdy już nie zostanie zapomniana.

Ta zmiana w preferencjach wyborców udowadnia przede wszystkim, że system polityki otwartej ma zdolność autokorekcyjną. Zanim znacznie się głosić sądy na temat tych nowych ruchów masowych, należy zrozumieć ich demokratyczną żywotność. Stąpawszy oko w oko z tarciami w społeczeństwach mających do czynienia z imigracją na dużą skalę, pojawienie się takich polityków, jak Dewinter, Haider, Blocher czy Le Pen, lepiej uznać za zachętę do krytycznej autoanalizy.

W ten sposób demokracja wygłasza sprostowania w odniesieniu do samej siebie. Jest to myśl uspokajająca, lecz być może mamy do czynienia z czymś więcej, i w obecnych czasach globalizacji demokracja rzeczywiście znajduje się w niebezpieczeństwie. Francuski pisarz dyplomata Jean-Marie Guéhenno przedstawił krytyczne, zwięzłe opracowanie dotyczące „końca demokracji”, w którym bezkompromisowo i dogłębnie omówił tło niepewności. „Rok 1989 oznacza koniec epoki państw narodowych”. Od tego rewolucyjnego roku gospodarka rynkowa może rozwijać się w sposób nieograniczony i dla każdego jest jasne, że narodowe rządy i parlamenty przestały panować nad szybko rosnącym w świecie wzajemnym powiązaniem ekonomicznym.

Dlaczego powolne umieranie państwa narodowego oznacza również koniec znanej nam demokracji? Guéhenno dochodzi do sedna problemu, kiedy zauważa, że aż do tej pory wszystkie formy reprezentowania ludności związane są z wyraźnie zakreślonym terytorium. Innymi słowy: nasze instytucje demokratyczne mają podstawę terytorialną. A logicznym następstwem globalizacji jest to, że „znika solidarność społeczna, której podstawą jest wspólne terytorium, a zamiast niej powstają tymczasowe ugrupowania interesów”. Wkraczamy krok po kroku do świata „postpolitycznego”, w którym demokracja upada i zostaje zastąpiona nieprzejrzystymi sieciami, sięgającymi daleko poza granice.

Broniąc się przed katastrofalną wizją Guéhenno, można stwierdzić, że w zbyt wielkim stopniu przedstawia on globalizację ekonomii jako radykalnie nowe zjawisko. Zatem głoszenie, że obecnie nadszedł po prostu koniec państwa narodowego, jest pójściem na łatwiznę. Jednak wyrażenie widoczne jest to, że państwa narodowe mają trudności z zaprowadzeniem u siebie porządku. Nader trudno

zapanować nad problemami globalnymi, powstałymi wskutek połączenia eksplozji ludności, naruszenia środowiska naturalnego, rosnącego dystansu między biednymi a bogatymi oraz wynikającej z tego imigracji. Sprokocowało to niechętnie reakcje w licznych demokracjach liberalnych.

Lektura książki *Baas in eigen land* (Pan we własnym kraju) Filipa Dewintera daje wyobrazenie o sposobie myślenia w kręgach partii Vlaams Blok, która wskutek politycznie umotywowanego zakazu sądu została tymczasem przemianowana na Vlaams Belang. Jak sugeruje sam tytuł, motywem przewodnim wywodów autora jest apel o prawo do decydowania o sobie. To przede wszystkim utrzymująca się imigracja koliduje z „kulturową odrębnością i tożsamością” Flamandczyków, która jest bardzo delikatną kwestią. Przyznała się do tego między innymi długotrwała dominacja francuskojęzycznej części Belgii: „Po stu siedemdziesięciu latach istnienia Vlaamse Beweging^{*}, po ponad półtora wiekowej walce o kulturową emancypację, istota naszego narodu znowu zostaje zagrożona”.

Pokaźna część niniejszej książki poświęcona jest trzewemu rozważeniu kosztów i zysków najnowszej imigracji. Największą różnicą w stosunku do poglądów partii środka jest wskazanie na różnice kulturowe, które Dewinter, opierając się między innymi na pracy Huntingtona dotyczącej „zderzających się ze sobą cywilizacji”, uważa za nie do przecroczenia. W tym podkreśleniu odrębności kulturowej jest zresztą konsekwentny: „Obcokrajowcy nadal organizują się tak, jakby mieszkali jeszcze w swojej ojczyźnie. Z ludzkiego punktu widzenia jest to zrozumiałe. Człowiek ma własną tożsamość i pragnie ją utrzymać”.

* Vlaamse Beweging to stowarzyszenia i osoby mające na celu emancypację ludności flamandzkiej (przyp. tłum.).

Z doświadczenia belgijskiego można się wiele nauczyć: „Jak można sobie wyobrazić stworzenie tutaj społeczeństwa *multikulturowego* obejmującego ludność i kultury z całego świata, skoro jednocześnie jasne jest, że nawet *bikulturowa* społeczność Flamandczyków i Walonów nie potrafi rozwijać się zgodnie z normalnymi, demokratycznymi regułami gry”. Zdaniem Dewintera, historia Flamandczyków uczy, że współzycie wielu kultur zawsze prowadzi do walki sił: „Ludzie francuskojęzyczni usiłowali zdominować niderlandzki język i flamandzką spuściznę kulturową, a nawet je wyeliminować”. Paradoksalnie, właśnie to traumatyczne doświadczenie autor przyjmuje za punkt wyjścia do swojej polityki integracyjnej: obcokrajowcy we Flandrii powinni zostać postawieni wobec wyboru „asymilacja lub powrót”. W jego opinii jest to jedyny sposób, w jaki państwa narodowe, stanowiący oko w oko ze wzrastającą liczbą imigrantów, mogą urzeczywistnić swoje prawo do samostanowienia: „Sposób, w jaki narodowość zostaje sprowadzona do darmowej kartki papieru, uległość, z jaką zaspokajają się żądania (*sic!*) osób przebywających nielegalnie, polityczna niemoc uporania się z przestępczością obcokrajowców, równie wielka niemoc oraz/albo lęk przed chronieniem granic Europy, oto jeden po drugim symptomy kryzysu cywilizacji”.

Na to wyzwanie populizmu, które daje o sobie znać od lat dziewięćdziesiątych, elity zareagowały niepewnie, nie potrafiąc początkowo wymyślić nic innego poza oznajmieniem, że te nowe partie są niezgodne z porządkiem społecznym, gdyż reprezentują rasizm. Gdy to się nie powiodło, w takich krajach, jak Holandia i Austria, zdecydowano się wspólnie rządzić, podczas gdy we Flandrii wokół partii Vlaams Blok utrzymano kordon sanitarny, podobnie jak wokół francuskiej partii Front National.

Tę niepewność można rozpoznać u flamandzkiego publicysty Manu Claeysa. Również on jest przekonany, że przyjmowanie imigrantów na wielką skalę pozostaje „eksperymentem”, i radzi, „aby obywatelstwa poszukiwano gdzieś w połowie drogi między duchem narodowym a obcą kulturą”. Nie wyjaśnia, jak to w rzeczywistości ma wyglądać. Jasno natomiast wyraża się na temat partii Vlaams Blok. Apeluje o to, by zabronić jej istnienia: „Politycy nie powinni się wahać przed przyznaniem, że proces przeciw partii ekstremistycznej to proces polityczny, gdyż dzieje się to w interesie całej społeczności, nawet jeśli nadaje to danej partii status męczennika”. Oto problem, z którym Flamandzcy nie radzą sobie już od około dwudziestu lat. Ale z pewnością nie są w tym odosobnieni.

To, że kwestia imigracji urosła w świecie zachodnim do tak wielkiego problemu, jest zupełnie zrozumiałe. Obraz wędrowki ludów, której nikt nie może zatrzymać, odzwierciedla bałagan o światowym zasięgu, który zbliża się do nas coraz bardziej i wprowadza podziały w stosunkowo harmonijnych społecznościach. Z badań wynika, iż spora większość obywateli Unii Europejskiej uważa, że osiągnięto granicę przyjmowania imigrantów, co oznacza więcej niż powiedzenie „nie” osobom szukającym azylu, imigrantom zarobkowym bądź tym, którzy łączą czy tworzą rodziny. Wyrażone zostają tu głębsze uczucia braku bezpieczeństwa oraz dyskomfortu, które powinno się potraktować poważnie.

Czyni się to w niewystarczającym stopniu. W wyniku debaty demokratycznej zawsze dochodzi do głosu większość, sceptycznie zapatrująca się na imigrację o wielkim zasięgu, lecz rezultat kompromisów politycznych często okazywał się inny od spodziewanego. Zdaniem Joppke'ego, dzieje się tak, ponieważ koszty imigracji, takie jak nacisk

na place lub inwestowanie w naukę języka, zostają przeniesione na całe społeczeństwo, podczas gdy korzyści z imigracji – tania siła robocza bądź łączenie rodzin – odnoszą się do konkretnych grup. Werbowanie zwolenników polityki imigracyjnej prowadzi do wzrastającej imigracji. Większość praw imigrantów powstała nie na otwartej arenie demokracji, lecz za zamkniętymi drzwiami biurokracji ministerialnej albo zostały one wymuszone przez sąd. Ten niedostatek demokracji budzi sprzeciw.

Szybkie zmiany demograficzne widoczne w wielu społeczeństwach zachodnioeuropejskich wywołały poczucie wyalienowania, które łatwo wykorzystać w niewłaściwy sposób. Przyjmowanie dużej liczby imigrantów w połączeniu z wciąż jeszcze ograniczoną integracją spowodowało w wielu krajach wzrost nierówności i segregacji. Jeśli niemożliwe okaże się zapanowanie w pewnym stopniu nad przyjmowaniem uchodźców, członków rodzin oraz imigrantów zarobkowych, a równocześnie nie powiedzie się prawidłowa asymilacja obywatelska w nowym społeczeństwie, wówczas prędzej czy później zostanie osiągnięta krytyczna granica możliwej do zaakceptowania sytuacji, w sensie społecznym i kulturowym.

I tego właśnie byliśmy świadkami w ciągu ostatnich dziesięciu lat w całej Europie, lecz również, na przykład, w Australii. Wspomniany wcześniej historyk australijski Geoffrey Blainey skrytykował w swojej poczytnej książce *All for Australia* (Wszystko dla Australii) stwarzanie tabu wokół debaty na temat plusów i minusów imigracji azjatyckiej w jego kraju: „Napięcia społeczne nie wpływają głównie z kontrowersji, chociaż mogą przez nie zostać wzmocnione. Zostają one wywołane polityką imigracyjną, która nie liczy się z opinią publiczną”. W ten sposób tolerancja, która nie dawno wzrosła dzięki odrzuceniu w polityce imigracyjnej

kryteriów rasowych, znalazła się w niebezpieczeństwie: „Ludzie mają prawo stawiać sobie pytanie, czy zostanie zachowany odrębny charakter narodu, kiedy osoby z całkiem innych kultur zachęca się do przybywania i utrzymywania w jak największym stopniu swojej własnej kultury”.

Źle, że sprawę imigracji i azylu uznano za kwestię nie-możliwą do opanowania. To jawne przyznanie się do nie-mocy ma dalekosiężne skutki dla naszej demokratycznej kultury. Ten, kto ogłasza brak kompetencji w tak ważnej sprawie, podkopuje ideę obywatelstwa. Kiedy panuje opinia, że niemożliwa jest jakakolwiek kontrola w stosunku do niezwykle istotnej kwestii „kto może pozostać w kraju, a kto nie”, wówczas rychło można spodziewać się wołań o „zamknięcie granic”. Takie slogany prowadzą donikąd i przede wszystkim uwidaczniają impas, który nastąpił w sprawie imigracji. W holenderskim sloganie „pełne oznaczenie” kryje się zresztą niewypowiedziana obietnica, że jeśli będziemy wystarczająco surowi, obraz ulicy stanie się znowu taki jak dawniej. Wskazuje to na czas, gdy robotnicy cudzoziemscy poruszali się po naszym świecie jak zjawy. Zwolennicy hasła „zamknąć granice” absolutnie nie wzięli pod uwagę faktu, że ta siła robocza ma już przy sobie rodzinę i pragnie tu pozostać.

Europa stała się tymczasem wspólnym rynkiem, charakteryzującym się swobodnym ruchem osób. Ta zwiększona wolność wywołała jednak nowy problem związany z bezpieczeństwem. Po otwarciu granic wewnętrznych powstała bowiem dręcząca kwestia: w jaki sposób ochraniać nasze wspólne granice zewnętrzne? Jak w Europie, w której wszyscy mogą poruszać się mniej lub bardziej swobodnie, zwalczać przestępczość i terroryzm, przekraczające granice? Ale również: jak sprawić, by takte kraje, jak Hiszpania, Włochy, Grecja lub Polska, nie stały się portem

przejściowym dla nielegalnej imigracji? Obecnie każde państwo postępuje według własnych wytycznych. Podczas gdy w Holandii przez wiele lat rząd z wielkim trudem usiłował wydaląc z kraju mniej więcej piętnaście tysięcy poszukiwaczy azylu, którym go odmówiono – z czego w końcu zrezygnowano z powodów pryncypialnych i praktycznych – Hiszpania samowolnie zapewnia siedmiuset tysiącom nielegalnych osób pozwolenie pobytu.

Wzrasta świadomość, że po zlikwidowaniu granic wewnętrznych decydujące znaczenie dla „fortu”, którym pragnie być Europa, ma strzeżenie granic zewnętrznych. Opór z różnych stron jest stosunkowo duży, gdyż ochrona granic uznawana jest nadal za zadanie narodowe. Tymczasem powstał Frontex, czyli Europejska Agencja Zarządzania Współpracą Operacyjną na Granicach Zewnętrznych Państw Członkowskich UE. To, delikatnie mówiąc, wyjątkowo wyszukane sformułowanie nie nastraja uspokajająco i zdradza, że doryczy poważnej kwestii. Związany jest z tym wielki problem legitymizacyjny w Europie, który zwłaszcza po przyjęciu do Unii Europejskiej nowych członków, wielu obywateli uważa za źródło poczucia braku bezpieczeństwa, a nie za przejaw ochrony.

Obecnie sztuką jest połączenie obrony granic w Europie ze świadomością, że jesteśmy częścią szerszej rzeczywistości. Wędrówka ludów, z którą mamy do czynienia, przypomina nam nieustannie o otaczającym nas ubóstwie, wskutek czego z łatwością możemy stać się przedmiotem zbyt wielkich żądań. W jaki sposób możemy połączyć własną odpowiedzialność za uregulowanie naszych stosunków społecznych ze wzrastającym powiązaniem wzajemnym całego świata? W czasach globalizacji bowiem postępowanie wobec imigracji staje się wskaźnikiem dla możliwości demokracji.